

Cena zł 10.—



Jan Jankowski

# SWASTYKA nad Szubinem



© Kresko

© Mogilno

JAN JANKOWSKI

SWASTYKA NAD SZUBINEM

*Pamiętnik nauczyciela*



WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

Okładkę projektowali  
Halina i Janusz Eysymontowie

ZUSTĘP

Pamiętnik mgra Jana Jankowskiego obejmuje wspomnienia własne Autora z okresu pierwszych miesięcy okupacji hitlerowskiej oraz relacjonuje wypadki, jakie rozegrały się w tym czasie na terenie powiatu szubińskiego. Autor zbierał relacje „na żywo”, bezpośrednio po wysiedleniu do Generalnej Guberni, w latach 1939 i 1940, a w latach późniejszych, przed rokiem 1944, przelał swoje wspomnienia na papier. Ten stan rzeczy nadaje „Pamiętnikowi nauczyciela” charakter dokumentu, obrzucającego pierwsze miesiące okupacji na terenie powiatu szubińskiego.

Dokumentacja tego okresu okupacji zasługuje na szczególną uwagę. W tym bowiem czasie rozpełtała się na terenach wcielonych do Rzeszy masowa akcja eksterminacyjna, na skutek której tysiące Polaków straciło życie. Główna Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce opracowała to zagadnienie od strony liczbowej w biuletynach Komisji, pamiętnik Jana Jankowskiego pokazuje natomiast mechanizm społeczny akcji eksterminacyjnej.

Autor opisuje rolę policyjnego aparatu ucisku (gestapo i wojska), z drugiej strony — ilustruje wazki współdziałal w tej akcji miejscowych hitlerowców, volksdeutschów, członków mniejszości niemieckiej na terenie powiatu szubińskiego. Ludzie ci znali teren, pomagali, ułatwiali, przyspieszali i potęgowali kierowaną z Berlina akcję wyniszczania ludności polskiej. Ten moment warto specjalnie podkreślić dlatego, że działalność rewizjonistyczna prowadzona dziś na terenie Niemieckiej Republiki Federalnej, m. in. także przez pogrobowców hitlerizmu wśród dawnej mniejszości w Polsce — w ramach zionkostwa U e i c h s e l - U a r t h e, czy też zionkostwa U e s t - b r e u s s e n — ani słowem nie nawiązuje do ponurych dni opisanych w pamiętniku Jana Jankowskiego. Wspomina się tylko o „kryzywdach”, jakich mniejszość niemiecka w Polsce międzywojennej rzekomo doznawała od Polaków, o „beprawym” wysiedleniu lud-



93/199

Jan  
Szw

29227

7264

Ms. K24/1944

1961-04-22

ND

Wydano na zlecenie  
Bydgoskiego Zarządu Wojewódzkiego  
Towarzystwa Rozwoju Ziemi Zachodnich  
w Toruniu  
Przedsiębiorstwa PRX w Szubinie

Max+

ności niemieckiej z Polski po 1945 roku. Rewizjoniści niemieccy za-  
pomniają, że wysiedlenie to, dokonane na mocy uchwał poczdamskich  
podjętych przez zwycięskie mocarstwa, nastąpiło również na skutek  
zbrodniczej działalności licznych hitlerzowanych elementów mniej-  
szości niemieckiej w Polsce w okresie drugiej wojny światowej. Pa-  
miętnik Jana Jankowskiego jest między innymi dowodem słuszności  
tego twierdzenia, dowodem wyprzedzającym wyrażnie, że podlane Berli-  
nowi przed i po wybuchu drugiej wojny światowej hitlerzowane  
elementy mniejszości niemieckiej ponoszą poważną część odpowie-  
dzialności za eksterminację ludności polskiej w opisanym przez  
Autora pierwszych miesiącach okupacji.

Prezydium Bydgoskiego  
Zarządu Wojewódzkiego  
Towarzystwa Rozwoju  
Ziem Zachodnich

Toruń, w kwietniu 1961 r.

Usółtowarzyszom obozu  
internowanych i wysiedleńcom  
powiatu szubińskiego

W BEZCZYNNIE, długie wojenne dni wakacji letnich 1940 roku,  
spędzonych na wysiedleniu we wsi Chobot w powiecie mińsko-ma-  
zowieckim, powziąłem postanowienie spisania tego, co sam przeżyłem,  
na co sam patrzyłem lub com od naocznych świadków opisanym wy-  
darzeń usłyszał i zebrał. To ostatnie dotyczy szczególnie Barcina,  
Kcywni i Łabiszyna oraz częściowo Szubina. Fakty tu opisane są cał-  
kowicie zgodne z prawdą.

Moje wspomnienia prawie w całości napisane zostały w latach  
1940—1944, a więc wówczas, gdy wróg na terenie stworzonej przez  
siebie tzw. „Generalnej Guberni” stosował masowe rewizje, łapanki  
i mordy, gdy człowiek nie był pewien dnia ani godziny. Zapisane  
luźne kartki wędrowały do drwalni szkolnej, między drzewo lub torf,  
to znów w puszcze po termosie do ziemi, zaś w gorętszych chwilach  
znalazły schronienie pod korzeniami drzew pobliskiego lasu. Na wy-  
padek aresztowania, z czym trzeba się było w każdej chwili liczyć,  
tajemnicę swą powierzyłem jednemu z miejscowych zaufanych lu-  
dzi. W czasie wakacji 1943 roku pracę tę, ukrytą pod marynarką,  
zabrałem do Mińska Mazowieckiego dla skorygowania. Gdy szedłem  
ulicą, udając się do Powiatowej Spółdzielni Rolniczej, luźne kartki,  
których było około pięćdziesiąt, rozsypały się zupełnie niespodzie-  
wanie na chodnik. Serce przestało mi na moment bić. Odruchowo jed-  
nocześnie się to stało! Uspokoiłem się dopiero, gdy zorientowałem się,  
że żadnego Niemca w pobliżu nie było.

Nie mniej trudu kosztowało zebranie materiału. Trzeba było jeź-  
dzić, nawiązywać kontakty, by znaleźć ludzi, od których można by zdo-  
być dodatkowe wiadomości. A nie była to sprawa łatwa! Większość  
szufla chętnie wyjaśnieniami. Byli jednak i tacy, którzy wymawiali

się od wszelkich rozmów na te tematy, by w razie wykrzycia nie narażać się na przykre konsekwencje.

Zbliżał się front niemiecko-radziecki. Gdy huk dział stawał się coraz donośniejszy, pracę swą powierzyłem ziemi, zakopując cały materiał i przywalając kamieniem. Tylko cenne dane o badaniach i rozstrzeliwaniach dokonywanych przez gestapo, które zakopane były oddzielnie, zostały przez kogoś odkopane i zniszczone bez śladu. Trzeba je było zbierać od nowa. Fala wojenna porwała i mnie z początkiem października 1944 roku w szeregi Wojska Polskiego. Nastąpiła ofensywa na Warszawę, Wał Pomorski, walka o Bałtyk, potem o Berlin aż po Łabę i wreszcie — upragniony powrót do kraju.

Gdy Niemcy hitlerowskie były już rozgromione, nadeszła odpowiednia chwila do odgrzebania i wykończenia pracy. Współtowarzysz wojny dostarczył mi ją do jednostki wojskowej, w której pełniłem służbę. Reszta poszła już sprawnie.

Na zakończenie pragnę wyrazić podziękowanie tym wszystkim, którzy w jakikolwiek sposób dopomogli do powstania niniejszej książki. Specjalnie dziękuję p. Jakubowi Szubertowskiemu z Szubina, za dostarczenie fotografii, jak też p. Marii Śmierczalskiej za materiały dotyczące Łabiszyna.

J. J.

Pisałem w Rynarzewie, we wrześniu 1945 roku.

## I. 1 WRZEŚNIA 1939 ROKU W RYNARZEWIE I SZUBINIE

DZIEŃ od wczesnego ranka pogodny. Wychodzę na dziedzińce szkolny, by rozkoszować się czystym powietrzem letniego poranka, by wzrok nasyścić blaskiem promieni wschodzącego słońca. Wszak to ostatnie piękne dni kończącego się lata!

Moje radio zepsuło się; udaję się, jak to zresztą od kilku dni codziennie czyniłem, do restauracji Molendy, aby wysłuchać wiadomości dziennika porannego.

Lecz cóż to? Co znaczy męczący słowa spikera odgłos dzwonka, dochodzący gdzieś z głębi głośnika? Co znaczy przerwa w audycji i w czasie jej trwania podane tajemnicze słowa: „Ma-Pa 2 — przeszedł”, lub: „Ko-Ma 4 — nadchodzi?” Czyżby już?... W świadomości budzi się niepokój i przecucie czegoś nadzwyczajnego. Wiadomości dziennika porannego osłania jednak dziwna tajemniczość.

Zdenerwowanym krokiem wychodzę. Na rynku gromadka mężczyzn żywo dyskutuje. Podchodzę.

— Podobno Niemcy zajęli Gdańsk! — oznajmia ktoś bez zwykłych słów powitania.

Drgnąłem. Byłoby to możliwe? Spoglądam na przesuwających się ulicą miejscowych Niemców. Twarze ich dziwnie jasne, zadowolone, krok przyspieszony. Moze więc to prawda? Nie zaznaję spokoju, a niepewność bardziej przygniata, niż poznanie choćby najgorszej rzeczywistości. Ponieważ to 1 września, chwytam za rower, by udać się do Szubina po odbiór pensji, a równocześnie zasięgnąć języka. Zastaję tu obraz prawdziwie wojenny. Przez miasto przewalają się kolumny samochodów osobowych, ciężarowych i długie szeregi wozów, uwożących dobytek ludności z terenów przygranicznych. Twarze przestraszone, wzrok niespokojny. Grozę powiększa ryk pędzonego bydła. Wszystko kieruje się na Łabiszyn, byle dalej, byle bliżej serca Polski, gdzie będzie już bezpieczniej! Miejscowa ludność w gorączkowym nastroju biega na wszystkie strony. Każdy dom jest poruszony,

każde serce niespokojne. Widok zapchanych ulic każdego przeraża. Ten i ów bierze się skwapliwie do pakowania dobytku. Atmosferę niepewności potęguje widok ewakuujących się urzędów: akta ładuje się na samochody, na których znajdują także miejsce urzędnicy i ich rodziny. Gorączkowa myśl ucieczki góruje ponad wszystkim.

Brak jeszcze ciagle potwierdzenia faktu zajęcia Gdańska. Udaję się do szkoły po odbiór pieniędzy i tu słyszę z ust moich kolegów grozą przejmujące słowa: „Wojna rozpoczęła Niemcy w kilku miejscach naruszyli nasze granice i już rozpoczęli naloty bombowe!” A więc kości rzucone!

Zdenerwowany płaknik z wielkim trudem pełni swą powinność. Biorę do ręki okólnik inspektoratu szkolnego z następującym zarządzeniem: „Dnia 3 września w godzinach popołudniowych zbierze się nauczycielstwo z rodzinami z terenu całego powiatu na dworcem w Szubinie, by 4 rano specjalnym pociągiem udać się w kierunku wschodnim. Zabrać najważniejsze akta szkolne i najwyżej 50 kg osobistego bagażu”. Dobrze, że i o nas pomyślano!

Z tak bogatymi wiadomościami wracam wyścigowym tempem do Rynarzewa, aby być pierwszy zwiastunem historycznej wieści. Po drodze wyobrażam sobie reakcję mojego oloczenia na te wszystkie wiadomości, które im wiozę. Pomyliłem się jednak! Straszna nowina o rozpętanej wojnie obiegła już miasta, miasteczka i wsie. Pierwsze wrażenie w Rynarzewie już minęło. A cóż mówi radio? Zbliża się południe, więc już jestem przy głośniku i czekam. Takich jak ja jest dziś więcej. Trudno ustać w miejscu, niecierpliwość pali człowieka. Nareszcie! Hymn państwowym... Odezwa... Wszyscy słuchacze zastęgli w bezruchu, oczy wszystkim płoną, usta rozchylone, by lepiej słyszeć, nie uronić ani jednego słowa. Czyż w takim dniu może człowiek myśleć o obiedzie?

Życie Rynarzewa całkowicie wybiegło z normalnego trybu. Przez miasto przeciągają wozy załadowane pościelą, z dziećmi i kobietami. Mężczyźni maszerują, pieszko obok. Udzielam kilku informacji, stawiam pytania... Uciekinierzy zaś posuwają się dalej — na Kabiszyn. Wreszcie większa sensacja! Przed plebanią zatrzymuje się luźna gromadka wychowanków Zagranicznego Seminarium Duchownego w Potulicach, za nimi wóz z bagażem. Krótki postój i wymarsz w dalszą drogę.

Tymczasem wozy zbliżają się coraz bardziej stłoczoną masą, coraz większy chaos panować zaczyna na przepelnionych drogach. Zjawiają się i tacy, którzy w pośpiechu tylko życie bezpiecznie umieśli, nie zabierając ani kawałka chleba, ani grosza pieniędzy. Czyżby mieli zginać śmiercią głodową? Część uciekinierów, będąc od wczesnego rana w drodze, urządziła w Rynarzewie pierwszy postój. Niektórzy posilają się, jednak nie wszystkim dopisuje apetyt. Trudno się dziwić. Podchodzę więc, by dowiedzieć się, z jakich miejscowości pochodzą. Nawiazuję rozmowę ze starszą kobietą, odpoczywającą nad rowem.

— Skąd jedziecie? — pytam.

— Z wyrzyckiego powiatu, spod Wysokiej — pada odpowiedź.

— Czy widzieliście już Niemców? Jak zdążyliście uciec? — indaguję dalej.

Oto czego się dowiedziałem: Rano, około godziny 6, kiedy jeszcze spali, zakolatął do drzwi miejscowy nauczyciel, krzycząc: „Uciekajcie, bo Niemcy już idą!” Sam ratował życie ucieczką na rowerze. Zerwawszy się pospiesznie, włożyli na siebie, co było pod ręką, i rzucili się natychmiast do ucieczki. Miejscowi hitlerowcy, wiedząc o zliżaniu się wojska niemieckiego, wydobyli z ukrycia broń i poczęli ich ostrzeliwać — na szczęście bezskutecznie. Chociaż nie myśla, w Rynarzewie nocować, uspokajają nas, że jesteśmy tu bezpieczni.

Ide do soltysa Domachowskiego. Z jego ust dowiaduję się, że nachodzą go ludzie z prośbą o chleb, mleko itp. Trudno mu coś zarażać z braku odpowiednich funduszy na ten cel. Co może, daje z własnej szkatuły. Udajemy się wobec tego we dwójkę do miejscowego proboszcza, gdzie urządziliśmy zorganizować zbiórkę darów na dorywcza pomoc dla uciekinierów. Zbiórka dała w wyniku około dwadzieścia złotych i kilka obietnic ofiarowania mleka i chleba. Pierwsza więc pomoc w nagłej potrzebie była zapewniona.

Zbliża się wieczór. Napływająca fala uchodźców nie słabnie. Rynarzewo zapełniło się uciekinierami, którym wypadnie chyba tu nocować. Część z nich lokuje się więc w świetlicy szkolnej. Z soltyssem udajemy się późnym wieczorem na przegład Rynarzewa, by nieść słowa otuchy i pomoc potrzebującym. A kiedy około godziny 24 udaliśmy się na spoczynek, sen nie kleił mi powiek. Zbyt wiele wrażeń, jak na jeden dzień, pierwszy dzień wojny!

## II. WOJNA IDZIE...

WCZESNĄ godziną wstając z niezbyt dobrym samopoczuciem, zmęczony wrażeniami dnia wczorajszego. Rynarzewo prawie opustoszało po wczorajszym najeździe uciekinierów. W ciągu dnia, tzn. 2 września, tylko nieliczne grupki uciekających przejeżdżają przez Rynarzewo, bez zatrzymywania się. Są to przeważnie mieszkańcy Turu, Zamościa i pobliskich wiosek. Niektórzy mieszkańcy Rynarzewa także ruszają w drogę. Dla bezpieczeństwa i pilnowania porządku sotys zwoluje miejscowych mężczyzn Polaków na zebranie do sali Banacha celem powołania straży obywatelskiej. Gdy mężczyźni przybyli, wyłoniliśmy spośród siebie straż obywatelską, której komendantem obrany został Władysław Szulc, zaś jego zastępcą Sylwester Szymański. Dwuosobowe posterunki, zmieniające się co cztery godziny, patrolować miały w dzień i w nocy we wsi. Komenda straży obywatelskiej mieściła się w rynku w domu Dominiczaka. Mniejszości niemieckiej zabroniono zbierać się po mieszkaniach i ukazywać na ulicach po godzinie 6 wieczorem. Powołaliśmy także pogotowie PCK, którego członkinie dyżurowały z apteczką na ulicy, aby w razie nagłej potrzeby nieść szybką pomoc. Członkowie straży obywatelskiej paradowali po ulicach Rynarzewa w biało-czerwonych opaskach. W czasie pełnienia mojej służby wylegitymowałem kilka przejeżdżających grup. W ciągu dnia nad Rynarzewem kilkakrotnie przelatywały eskadry bombowców, kierując się na Bydgoszcz. Odgłosy wybuchów ciężkich bomb dochodziły do Rynarzewa.

Następnym dniem była niedziela. Wypowiedzenie wojny przez Anglię o godzinie 11.45, obwieszczone przez radio, podniosło nastroje, tu i ówdzie już nieco przygasła. Wacław Alwin przez tzw. wydzwonienie obwieścił po wszystkich ulicach tę radosną wiadomość w następującej redakcji: „Dziś o godzinie 11.45 nasza sojuszniczka Anglia wypowiedziała Niemcom wojnę w obronie Polski. Niech żyje

Anglia! Niech żyje król Jerzy VI! Zebrana ludność odpowiedziała okrzykiem: „Niech żyje!”

Krótko po południu obiegra Rynarzewo, podawana z ust do ust, przerażająca wieść o krwawych rozruchach wzniesionych przez miejscowych Niemców w Bydgoszczy. Barometr nastrojów gorączkowo zwiększył! Jakże łatwo w takiej chwili o nierozważny czyn. Proboszcz rynarzewski prosi sotysa i mnie do siebie na naradę. Tematem są oczywiście groźne wieści z Bydgoszczy. Proponuje zebrać wszystkich miejscowych Niemców do wspólnej sali i trzymać ich pod strażą, uzasadniając to możliwością podobnych wydarzeń, jakich świadkiem jest Bydgoszcz. Energicznie oponujemy, obstając przy zachowaniu spokoju i widząc w tym niebezpieczeństwo krwawych zachowań sotysa i widząc w tym gorętszy umysł rzucone, wybuchnięte, które, na byle hasło przez gorętszy umysł rzucone, wybuchnąć mogą i pociągnąć za sobą nieobliczalne następstwa. Uzgadniamy tylko, że poczynić trzeba starania o zdobycie broni u miejscowego posterunku obserwacyjnego Obrony Przeciwlotniczej i Przeciwigazowej, co jednak nie daje wyniku. Broni nie dostaliśmy, osiągnęliśmy tyle tylko, że w skład posterunku straży obywatelskiej wszedł jeden uzbrojony człowiek posterunku OPLGr. Chodziło szczególnie o noc.

Wśród tych wszystkich zajęć uświadomiłem sobie, że mam rodzinę. Nie wolno mi więc „przepasować” odjazdu specjalnego pociągu i pozostać z żoną i małymi dziećmi na terenie przyszytych operacji wojennych. Zadziwiająca jednak wydaje mi się cisza od strony Szubina. Posterunek Policji Państwowej weszany do Rynarzewa, po przychwycceniu przez straż obywatelską, zawodowego koniokrada, nie daje znaku życia. Zaczynam wątpić w odjazd zapowiedzianego specjalnego dla nas pociągu. Ten i ów w rozmowie rozwiewa mi resztę nadziei. Postanawiam więc pojechać do Szubina rowerem i osobiście wy badać ogólną sytuację. Kiedy znalazłem się poza Rynarzewem, ogarnął mnie niepokój. Nigdzie po drodze żywej duszy, okoliczne wioski jakby wymarłe. Dojeżdżam do Szubina i zdziwiony zwałniam tempo. Skąd tyle bydląt zaległo okoliczne pola po obu stronach szosy? Może to miejscowi gospodarze spędzili je tutaj, pozostawiając na hasce losu, a sami, porwani falą ucieczki, są już daleko? Przy wjeździe do miasta spotykam dwu mężczyzn noszących krzyż i chorągiew kościelną. Wjeżdżam na rynek — i tu panuje śmiertelna cisza — nigdzie śladu żywego człowieka. Okna z opuszczonymi żaluzjami, nie zatrzymując się więc, a pędząc po informacji do szkoły. Po

dłuższym kolataniu ktoś na piętrze otwiera okno. Poznając — to woźny Musiał. Szybko schodzi, by otworzyć mi drzwi. W tej chwili zbliża się jeden z miejscowych kowali. Informuje nas, że oficer polski, podporucznik Józef Suplicki, ranny pod Nakłem, zmarł. W pogrzebie wzięła udział delegacja wojskowa z orkiestrą i trochę miejscowej ludności, która została na miejscu. Z Musiałem udajemy się do kancelarii szkoły. Tu dowiaduję się, że Szubin opuszczał 1 września, a ostatecznie 2 września; nauczycielstwa jak i innych władz i urzędów, prócz grupy osób w starostwie i kilku policjantów, nie ma, więc, oczywiście, zapowiedziany pociąg nie pojedzie. Na biurku widzę odbiornik radiowy, włączam go. Natrafiamy właśnie na transmisję manifestacji w Warszawie przed gmachem ambasady brytyjskiej z okazji wypowiedzenia Niemcom wojny przez Wielką Brytanię. Wysłuchaliśmy przemówienia Becka i ambasadora brytyjskiego. Transmisja skończona — wychodzę, wsiadam na rower — i znów te same stada bydła i złowroga cisza. W Rynarzewie obstepują mnie znajomi, ciekawi przywiezionych wiadomości. Muszę powiedzieć im prawdę. Cała okolica Rynarzewa pusta, łącznie z Szubinem. Niemcy tutajsi, ukryci po mieszkaniach, siedzą na miejscu. Rynarzewo jest jakby odcięta wyspa.

Wzajemnie podnosimy się na duchu i postanawiamy wytrwać. Pocięsza nas fakt, że wojskowy posterunek łączności pod komendą plutonowego Kwaska z Szubina nie opuszcza jeszcze poczty, na razie więc nic nam nie grozi. Wypowiedzenie Niemcom wojny przez Francję, o czym dowiadujemy się o godz. 6 wieczorem, przyjmujemy już spokojniej aniżeli ogłoszenie stanu wojennego między Niemcami a Wielką Brytanią.

Przed wieczorem rozchodzi się podawana szeptem wiadomość, jakoby okoliczni Niemcy przygotowali napad na Rynarzewo, do tychczas nie ogarnięte paniką. Rynarzewo otoczone było wówczas ze wszystkich stron wioskami o dużym procencie Niemców. Jest także wersja, że bydgoscy Niemcy mają brać udział w napadzie. Podważamy więc nocne posterunki straży obywatelskiej.

Wczesnym rankiem 4 września opuścił Rynarzewo wojskowy posterunek łączności, a posterunek OPLG rozpoczął likwidację placówki. Wkrótce więc pozostaliśmy bezbronni. Na domiar złego w godzinach przedpołudniowych ulica Kościelną przemknął na rowerze żołnierz w polskim mundurze, jak się później okazało, niemiecki dywersant,

krzyżując do stojących niewiast: „Kto chce życie ratować, niech ucieka!” Za Rynarzewem, w kierunku wsi Rudy, spotkał Weronikę Szulcównę z Rynarzewa, przystanął więc i złapawszy ją, przyduśił do drzewa i wydobyl bagnet, by przebić dziewczynę. W trwodze śmiertelnej, modląc się przed nim w głos, błagała o darowanie życia. Zbił ją więc niemiłosiernie, odgrażając się: „My się z wami wszystkimi zatawimy!” Byłem właśnie na rynku, kiedy zjawiała się ze zbity, obłocną i obrzmiałą twarzą. Wydarzenie to zmobilizowało komendanta straży obywatelskiej i sołtysa Domachowskiego; pojechali niezwłocznie do Szubina, by powtórnie próbować odszukać jakąś władzę i zdobyć kilka karabinów.

W niedługim czasie po ich odjeździe zaczęły się wycofywać od strony Nakła ostatnie tyłne strażę Wojska Polskiego, omijając Rynarzewo i kierując się ku Bydgoszczy. Okoliczne mosty, których było aż pięć, w tym dwa żelazne kolejowe i jeden betonowy, leżały w gruzach. Zaczynaliśmy tracić łączność z okolicznymi miejscowościami. Dwa pobliskie tartaki ze stosami drzewa płonęły. Rzesza się wieść, że Niemcy są już w Jaruzynie, odległym od Rynarzewa o dziewięć kilometrów. Nasza delegacja do Szubina po broń wróciła oczywiście bez karabinów. W Szubinie władzy ani śladu. Rozwiązuje się więc straż obywatelska, której właściwie zawdzięczaliśmy, że Rynarzewo najdłużej z całej okolicy wytrwało na posterunku i nie dało się porwać ogólnej panice. Wojna tymczasem nieuchronnie zbliżała się ku nam. Najbardziejziej obawialiśmy się dywersji ze strony zamieszkałej w naszej okolicy ludności niemieckiej, tym bardziej że obok zajęć w Bydgoszczy i usiłowania zabicia Szulcówny przez przebranego dywersanta w naszej okolicy miał miejsce jeszcze jeden wypadek na dwa dni przed wybuchem wojny. Na moście kolejowym, przetrucionym przez Kanał Posiłkowy, łączący Noteć z Kanałem Bydgoskim, który został oddany pod ochronę specjalnie utworzonej straży cywilnej, w nocy z 28 na 29 sierpnia został zamordowany strażnik w nie ustalonych bliżej okolicznościach.



### III. UCIECZKA

PONIEWAŻ wypadki z ostatnich kilku dni przybrały dość groźny obrót, zaczynam przemyślać, w jaki sposób zabezpieczyć moją rodzinę. Widzę w domu bagaż przygotowany już przez żonę, w pośpiechu wynoszę więc co ważniejsze przedmioty, których nie sposób zabrać, do szkolnej piwnicy i zamykam je na klucz. Żona przygotowuje wózek dla niemowlęcia. Przed wyruszeniem, na które się wreszcie zdecydowałem, ostatnie spojrzenie na szkołę, mieszkanie... Kobiety płaczą i mnie się kręci łza w oku — jedziemy w nieznaną, na nie wiadomo jak długą tułaczkę. Kilkakrotnie spoglądamy jeszcze za siebie, na oddalające się zabudowania Rynarzewa, na kłęby dymu i słupy ognia buchającego z pałacego się tartaku w Kruszynie Krajeńskim. Późną godziną zajęchaliśmy do szkoły w Ostatkowej Strudze, gdzie nocujemy. Tu czujemy się bezpiecznie; w okolicznych lasach jest dużo naszego wojska. O grozie wojny przypominają wielka łuna, rozświetlająca mroki nocy gdzieś w kierunku Kcyri czy Nakła.

Rano pryska poczucie bezpieczeństwa — wojska polskiego ani śladu. Wycofało się już z otaczających nas lasów, więc i my ruszamy w dalszą drogę. Mijamy Lubostroń; tu w cieniu dębów o rozłożystych konarach natrafiliśmy na batalion pancerny. Jedni żołnierze odpoczywają, inni porządkują maszyny. Właśnie jest pora obiadowa, kołbiety przynoszą z kuchni wojskowej smaczny obiad. Przy tej okazji odszukały pełniącego w tym batalionie służbę syna naszego sąsiada, Marklewicza. Zaciekawieni otaczamy go kołem. Dowiadujemy się o wypadkach nocnych broni pancernej do Gołanicy, Wągrowca i Chodzieży, nigdzie jednak na nieprzyjaciela nie natrafiono. Rozjaśnione twarze świadczą, jak wiadomości te krzepią, na duchu. Ruszamy jednak dalej, nocleg dla części naszej grupy upatrzyliśmy w Julianowie, sam z rodziną udaję się do tartaku w Barcinie, położonego tuż przy szosie mogileńskiej. W Barcinie istnie obozowisko ludzi, zwierząt i wozów. Rynek, ulice, okoliczne drogi a nawet pola,

wszystko szczerze zapełnione. Każdy chce znaleźć się poza mostem na Noteci, by uniknąć odcięcia w razie wysadzenia go w powietrze. Noc mieliśmy bardzo niespokojną. Wojska polskie wycofywały się z obu stron: od strony Barcina i od strony Inowroclawia. Widać było przyspieszone tempo marszu, u artylerii przechodzące w kłus, aż zima dudniła. Kolumny wojskowe zmieszane z wozami uciekinierów. Nie potrzeba mi słów, bo wymowa szosy jest dostatecznie jasna; znowu wymarsz. Lokuję żonę i córeczkę na jakimś przygodnym wozie, sam popycham wózek z dziesięciomiesięcznym synkiem, który beztrudko zasnął. Szosa od nocy nie zmieniła wyglądu. Przeciwnie, nasiłiło się zgęszczenie ludzi, bydła, wozów i rozmaitych innych pojazdów. O jakimkolwiek wzajemnym wymijaniu się nie ma mowy. Jeden defekt wozu wystarcza do zahamowania ruchu i stworzenia zatoru na przestrzeni kilku kilometrów. O ile nocą panem szosy było wojsko, to obecnie należy ona prawie wyłącznie do ludności cywilnej. Kto nie znajduje miejsca na szosie, zjeżdża w pole i posuwa się jego brzegiem lub przystaje na krótki wypoczynek, by w odpowiednim momencie wcisnąć się w przypadkowo powstałą lukę długiego korowodu, leniwie sunącego szosą.

Pola po jednej i drugiej stronie szosy przedstawiają żaloszny widok: ani śladu wzorowej obróbki i regularnych radlin, wszystko wykopane lub stratomowane i zmierzwiome.

Na noc zajeżdżamy do opuszczonej już i bezańskiej szkoły w Mokrem, nazajutrz w drogę. Szosa mocno opustoszała. Przed Mogilinem napotykamy większą grupę rynarzewiaków. Przystajemy na krótko, by podzielić się wrażeniami z podróży i dowiedzieć się sensacji, choćby takiej, że jedna z niewiast w Rynarzewie, której mąż jest w wojsku, powiła w drodze niemowlę płci męskiej. Jedziemy dalej; mijamy Mogilno i podążamy do Bystrzycy, położonej o cztery kilometry za Mogilnem. Tu był kres naszej ucieczki. Wokoło gęsto stoczni ludzie obozują pod gołym niebem. Biorę od razu w swoje ręce opiekę nad szkołą, zlikwidowaną już od kilku lat, a zamieszkałą przez sekretarza gminnego, którego zresztą nie ma na miejscu. Szkoła przedstawia żaloszny widok; coś jak po napadzie wandalów: zamki wylamane, sprzęt szkolny zniszczony i rozrzucony w nieładzie, mieszkanie obrabowane, zanieczyszczone biciem drobin. Po doprowadzeniu szkoły do porządku oddaję puste pokoje potrzebującym. Posyłam po policję, aby odebrać zrabowane przedmioty, które jak



zeczają świadkowie, ukryte są na wozach. Policja jednak nie zjawia się i rewizja nie została przeprowadzona. Ludzie niektóre rzeczy sami przynieśli. Był to czwartek, 7 września.

Przez następne dni odpoczywamy. Dowiadujemy się, że Mogilno organizuje z ludności miejscowej obronę miasta przed napadem dywersantów niemieckich. Stormowano oddziały, wydano broń i niłą ilość ostrej amunicji; jej niedobór trzeba było uzupełnić amunicją ćwiczebną. Będąc w Mogilnie, przypadkowo widziałem sformowany oddział w czasie zbiórki. Zapal doskonały, wyposażenie niedostateczne — typowy obrazek całej rozgrywanej się kampanii polskiej.

W niedzielę około południa dobiegają do naszych uszu odgłosy strzałów od strony Mogilna, powtarzające się co pewien odstęp czasu przez całe popołudnie. Czyżby zbliżali się Niemcy? Wkrótce dowiadujemy się, że rzeczywiście Niemcy podjechali samochodami pod Mogilno i ostrzeliwali je. Widząc zdecydowaną postawę naszych, cofnęli się. Nie dali jednak za wygraną. Nocą oświetlili miasto i pole rakietami, gromadząc większe siły do decydującego natarcia. Wczesnym rankiem rozpoczęła się atak na okrażone ze wszystkich stron miasto. Ani na chwilę nie ustawały salwy i grzechot karabinów maszynowych. Raz po raz rozlegały się głuchym odgłosem strzały karabinowe. To nasi, nie mając ostrej amunicji, strzelali nabojami ćwiczebnymi. W poniedziałek około południa miasto musiało się poddać. Żołnierze Wehrmachtu, wpadłszy do miasta, rozstrzeliwali bez pardonu schwytanym na ulicy młodzieńców, mszcząc się krwawo za próbę obrony. W ten sposób zginął przybyły z okolicy po żywność siedemnaścieletni Mieczysław Sikorski z Barcina, idący chodnikiem w mundurze harcerskim.

Wkrótce po poddaniu się miasta zjawili się u nas cywili Niemcy, wzywając nas do oddania broni, której oczywiście nie posiadaliśmy. Przed wieczorem kilka samochodów niemieckich przemknęło szosą, patrolując bliższą i dalszą okolicę. Wobec tego dalsze pozostawanie na miejscu było bezcelowe. Decydujemy się na powrót, powrót ze zbolalym sercem i zawiedzionymi nadziejami, ale z pewnością zwycięstwa, i to w krótkim czasie.

#### IV. POWRÓT NA NIEPEWNE

JESTESMY pod okupacją niemiecką — fakt oczywisty i nie podlegający dyskusji. A jednak wydaje się, że to tylko sen koszmarny. Potrzeba dłuższego czasu, by rozwiały się w nas ostatecznie te złudzenia. We wtorek 12 września wczesnym rankiem ruszamy w drogę powrotną. Po drodze targają nami rozmaite uczucia: obawa przed represjami, obrabowaniem z resztek wiezionego mienia, upokorzeniem wobec ludności niemieckiej; z jakim szyderczym uśmiechem i drwinami witac nas ona będzie! Jedno nas pociesza — wracamy na własne śmieci, by tu czekać końca rozpiętanej zawieruchy wojennej. Nikt z nas nie wątpi, że koniec wojny będzie dla nas pomysłny.

Przed Mogilnem natrafiamy na niemiecki posterunek wojskowy. Oglądamy pierwszego hitlerowskiego żołnierza z bliska. Trudno nam zachować spokój i równowagę. Na skierowane do nas pytanie o broń solennie zapewniamy, że jej nie posiadamy. Zezwalają nam ruszyć w dalszą drogę. W momencie wyruszenia jeden z żołnierzy zatrzymuje tylko mnie. Wskazuje na krzyż harcerski, którego, niczego złego się nie spodziewając, nie usunąłem z kłapy marynarki. Wyjaśniam, że to odznaka międzynarodowej organizacji młodzieżowej. Cierpliwie wysłuchuje mego wyjaśnienia, poleca mi jednak krzyż zdejść, co natychmiast czynię zadowolony, że go nie skonfiskował, a mnie nie przytrzymał. Mijamy Mogilno, mające już inne niż przed kilku dniami oblicze. Domy niemieckie przybrane hitlerowskimi swastykami, na placu odprawa kompanii wojska, którego tu pełno. Na rynku podchodzi do nas dwu cywilnych Niemców i konfiskuje dwa rowery — mój i woznego szkoły. Prośba nie skutkuje, protestować nie ma celu. Staramy się jak najprędzej minąć miasto. Tu i ówdzie widać jeszcze ślady wczorajszej walki. Pod płotem jednego z ogrodów porzucono ciała sześciu naszych poległych. Przechodzący człowiek mówi nam, że nawet rodzinie zabroniono je zabrać i pogrzebać.

Wjeżdżamy w granicę powiatu szubińskiego. Zniszczone mosty powodują, że jedziemy trochę okrężną drogą: na Wójcin, Jadownik, Obielewo, Zalachowo, Wasosz, Kowalewo, Szubin. W Buszkowie, gdzie każdy niemiecki dom przybrany jest swastyką, następuje pierwsze powitanie. Jeden z miejscowych hitlerowców wita nas, oczywiście po niemiecku, słowami: „Wy, polskie świnię, dosyć długo cierpieliśmy!”

Minawszy Buszkowo, popełniłszy błąd: nie trzeba było jechać na Szubin i wchodzić wilkowi w paszczę, a pomimo złej drogi lasami przebiejąc się ku Rynarzewu. Stało się — posłuchaliśmy rady Niemców w Jabłowie, którzy wiedzieli, dlaczego kierują nas na Szubin; taką musieli otrzymać instrukcję. Już w Kowalewie mieliśmy przedsmak tego, co czeka nas w Szubinie. Wszystkie wracające wozy muszą zjeżdżać z szosy i zostają poddane rewizji. Przerzucają każdą walizkę, każdy worek, nic jednak u nas nie znaleźli. Obok nas dochodzi do dramatycznej sceny: kobiecie z kilkorgiem dzieci zabierają jedyną krowę. Nie pomaga lament, hitlerowcy są niewzruszeni. Przed odjazdem napisano nam na bocznej ścianie wozu, że rewizja już się odbyła. Siadamy na wóz przekonani, że w Szubinie nie będą już nas zatrzymywać. Przed magistratem jednak stoi liczna gromadka Niemców. Polecają nam skrócić w ulicę Nakielską i stanąć po prawej stronie jezdni. Zwracamy uwagę na napis na wozie, na co jeden z nich krzyczy:

— *Runter ihr Hundel! Euch muss man alle aufhängen!*<sup>1</sup>

Wobec tego schodzimy. Niemcy pytają, czyją własnością są konie i wóz? Woznica wyjaśnia, że jest z Nakła, odwoził do Znina rodzinny urzędników z Nakła, wskutek wysadzenia mostów miał powrót odcięty i zatrzymał się w Rynarzewie, z Rynarzewa uciekał, a teraz zamierza konie i wóz odprowadzić właścicielowi. To wystarczyło. Mimo próśb o wzgląd na małe dzieci i bagaż zrucono nas na ulicę, a woznicy nakazano natychmiast odjechać w kierunku Nakła.

Któryś z przyglądających się Niemców poznaje mnie, mówiąc w głos: „To jest nauczyciel z Rynarzewa, który wygłaszał wielkie przemówienia”. Przeraziłem się, bardziej jeszcze przeraziła się moja żona. Za chwilę podchodzi do mnie młody, butny hitlerowiec z Szubina nazwiskiem Steller, o bardzo niesympatycznej twarzy. W pierw-

<sup>1</sup> Schodzić, psy! Was wszystkich trzeba powywieszać!

szych dniach okupacji był komendantem miasta i niejednemu Polakowi dał się we znaki.

Oto nasza rozmowa:

— Pan jest nauczycielem z Rynarzewa?

— Tak.

— Pan internował Niemców i bagaze im z wozów zrzucił. Gdzie pan ich pozostawił?

— Tego nie czyniłem — odpowiadam zdziwiony tymi zarzutami.

— Chodź pan — rozkazuje.

Spodziewając się najgorszej nawet ewentualności, żegnając się na ulicy z żoną i dziećmi, Steller, ujrawszy to, dobywa rewolweru i strasznie krzyżąc, wygraża mi nim nad głową. Potem prowadzi mnie z wymierzonym w plecy rewolwerem przed magistrat. Tu razem z innymi stał znajomy mi Niemiec z Samoklesk.

Steller zwraca się do niego i pyta:

— To jest ten?

Müller odpowiada:

— Tak, to jest ten, a drugim był nauczyciel Mówiński z Godzienia.

Czuję, że zanosi się tu na zemstę za wygłaszane przez nas na terenie gminy przemówienia patriotyczne. Słyszac bezcelne kłamstwo o internowaniu Niemców przeze mnie, patrzę mu prosto w oczy i mówię:

— Panie Szulc, ja tego nie czyniłem (nie mogłem sobie w pierwszej chwili przypomnieć jego nazwiska).

Niemiec odwrócił się na pięcie i odpowiedział:

— Ja nie nazywam się Szulc!

Dla komendanta sprawa była jasna: oskarżenie, poparte zeznaniem świadka. Z tą samą ceremonią, jak poprzednio, prowadził mnie do magistratu. Tu oddać musiałem posiadane dokumenty, po czym wózny zaprowadził mnie do aresztu miejskiego, mieszczącego się w podwórzni magistratu. Krótki zgrzyt kłucza — i już jestem unieszkodliwiony. W areszcie zastają inne osoby: jednego młodzieńca i trzech dorosłych mężczyzn.

— Polacy? — pytam.

— Polacy.

— A za co?

Jeden wyjaśnia nieśmiało, że za rekwirowanie Niemcom rozmaitych rzeczy.

Więcej nie rozmawiam. Pograżony w myślach chodzę wzdłuż celi tam i z powrotem. Wnioskuje: oskarżenie jest, świadek jest, więc tylko jeszcze egzekucja. W dniach tak gorących o to nie trudno.

Po pół godzinie znowu zgrzyt klucza! W drzwiach staje woźny, wołając:

— Ostatni, wyjsi!

Wychodzę. W oddaleniu pięciu kroków od drzwi aresztu stoi Niemiec z wycelowanym ku mnie karabinem. A więc ostatnia chwila! Lecz nie! Prowadzi mnie znowu do magistratu. W drzwiach odechnałem. Może jeszcze nie wszystko stracone! W sali za stołem siedzi Stelter, za nim półkolem stanęli wykonawcy jego poleceń. Niemiec rzuca spojrzenie w kierunku drzwi, oddaje mi dokumenty i oświadcza:

— Pan uda się do Rynarzewa i natychmiast zgłosi się u komendanta miasta! W przeciwnym razie wie pan, co pana czeka! Odejsi! Nie czekam ani chwili dłużej i wracam do zrozpaczonej żony i dzieci. Radość wielka! Ale co począć z bagażem? Lokujemy go u znajomych w szopie, dwoje dzieci umieszczamy na wózku dziecięcym i ruszamy pieszo do Rynarzewa. W drodze mijają nas jadący do Szubina komendant Rynarzewa, Bade. Nim doszliśmy do miasta, samochoodem wojskowym z trzema żołnierzami wrócił na rynek, jakby na nasze powitanie.

Ciężkim krokiem wkraczamy do niemieckiego już Rynarzewa, które opuściliśmy jeszcze polskim. Zaraz przy wjeździe wita nas szederzo Niemiec Kaschell, bliski sąsiad szkoły:

— *Es sollte nach Berlin gehen, aber es ging nach Warschan* <sup>2</sup>.

Wjeżdżamy na rynek. Tu rzuca nam się w oczy okropny widok. W pobliżu ewangelickiego zboru stoi dwóch delikwentów, wykonujących przysiady, wymachy i inne niezwykle ruchy. Twarze ich blade, nogi pod nimi się chwieją. Znać na nich wyczerpanie. Odwrócenie są do nas bokiem, więc z trudem poznaję w nich Władysława Szulca z Rynarzewa i Bartola, leśniczego z Łochowa. Za nimi ich oprawcy: trzech żołnierze i jeden cywilny. Jeden z żołnierzy, miotając przekleństwa, krzyczy: „Padnij! Powstań!” Czekamy na swoją kolejkę. Pod-

chodzą do nas, dając chwilę wytchnienia mdlejącym ofiarom. Z pewnej odległości podoficer przywołuje mnie do siebie i oświadcza wprost:

— Pan internował Niemców!

Zdumienie mnie ogarnia, ale wnet znajduję wytłumaczenie powtórnego stawiania mi tego zarzutu. Oświadczam, że to nieprawda. Jeden z miejscowych Niemców wstawa się za mną, powołując się na naszą dłuższą znajomość. Podoficer odpowiada na to, że nie powinien za nikogo tak łatwo i prędko ręczyć, a nauczyciele wszyscy są niepewni. Potem zwraca się do mnie:

— Widzę z twarzy, że jest pan porządnym człowiekiem, więc może pan spokojnie pójść do domu.

Uradowany udaję się do domu. Mieszkanie otwarte, zamki wyłamane. Od sąsiada Niemca dowiaduję się, że przeprowadzano u mnie rewizję. Wielu rzeczy nie mogę odnaleźć. W klasach godła państwa we strzaskane, wiele obrazów o treści historycznej zniszczono.

Kończąc rozdział o przeżyciach w czasie powrotu z ucieczki do Rynarzewa, wspomnę krótko o dalszych losach Szulca i Bartola. Trafiliśmy bowiem na moment katowania ich na rynku rynarzewskim. Oprawcy w jakiś czas potem sprzykrzyli sobie tę „niewinną zabawę”, zaladowali ich do samochoду i wywieźli do Bydgoszczy, gdzie wzięto ich w swe ręce gestapo. Tam związano im ręce drutem kolczastym i wrzucono do piwnicy, gdzie przez dwa dni pozostawali bez jedzenia, bici dotkliwie po głowie i twarzy. Zemściwszy się dostatecznie, Bartola rozstrzelano, Szulca zaś, wychudzonego, raczej do szkieletu tu ludzkiego podobnego, wypuszczono na wolność, którą jednak nie długo się cieszył. W parę miesięcy później zabrano go do Szubina i tam rozstrzelano.

<sup>2</sup> Miało się iść na Berlin, a poszło się do Warszawy.

## V. PIERWSZE DNI OKUPACJI NIEMIECKIEJ

### W RYNARZEWIE

RYNARZEWO zostało zajęte przez wojska niemieckie dnia 6 września. Wkraczające oddziały witała miejscowa ludność niemiecka. Pierwszą ich czynnością było, oczywiście, przeprowadzenie rewizji w poszukiwaniu broni w domach Polaków, zarówno tych, co zostali na miejscu jak i tych, którzy uciekli. Po powrocie z ucieczki dowiedziałem się, że w dniu 5 września został zastrzelony przez polski posterunek wojskowy Niemiec Kelma z Rynarzewa, uciekający przez łąki; nie chciał zatrzymać się na trzykrotne wezwanie żołnierza. Nawet Niemcy w rozmowie ze mną przypisywali jemu samemu winę śmierci. Po opuszczeniu Rynarzewa przez wojsko niemieckie władzę przejął *Selbstschutz*, złożony z miejscowych Niemców. Niektóre miejscowe Niemki w pierwszym dniu po wejściu wojska hitlerowskiego rzuciły się do grabienia mienia polskiego, pozostawionego przez tych, którzy udali się na tułaczkę. Wynosiły z mieszkań i sklepów wszystko, co przedstawiało jakąkolwiek wartość.

Pierwszym zarządzeniem *Selbstschutzu* był nakaz, by mężczyźni Polacy zbierali się na noc do ciasnego pokoju w domu Molendy, gdzie zamkniętych trzymano pod strażą od godziny 7 wieczorem do 7 rano, nie wypuszczając ich nawet dla załatwienia potrzeb osobistych. Dla każdego było miejsce leżące tylko na jednym boku. Nawet przeszło siedemdziesięcioletni starcy objęci byli tym rygozem.

Równocześnie z nakazem o zbiórce mężczyzn zarządzono, by wszyscy mężczyźni Polacy obowiązkowo codziennie stawali do pracy na godzinę 8 rano, oczywiście bez wynagrodzenia. Zwoziliśmy żwir, drzewo, naprawialiśmy wysadzone mosty i drogi. Ulubionym dniem pędzenia nas do pracy była niedziela. Tego dnia już o godzinie 7 rano stanąć musieli na miejscu zbiórki wszyscy Polacy — kobiety i mężczyźni powyżej lat piętnastu. Niepodzielną władzę nad nami dzierżył Bade, uczestnik mordu dokonanego pod Rynarzewem na sześciu pol-

skich powstańcach w roku 1919. W okresie międzywojennym mieszkali on w pobliżu Rynarzewa.

Czwórkami prowadzono nas do wsi Rudy do usuwania zasieków z drutu kolczastego i zasyppywania okopów. Pewnej niedzieli zatrudniono część mężczyzn, wśród nich i mnie, przy budowie prowizorycznego mostu na kanale pod Kruszynem. Nie wiem, czy przypadek, czy też niesolidne wykonanie pracy sprawiły, że następnego dnia most pod ciężarem samochodu załamał się. Trzeba było pracę rozpocząć od nowa, tym razem już pod kontrolą budowniczego Stelltera, byłego komendanta Szubina.

Krótko po naszym powrocie z ucieczki ogłoszono publicznie, że Polakom nie wolno używać pozdrowienia: *Heil Hitler*, co nas zresztą serdecznie ucieszyło, oraz że na głównych ulicach Rynarzewa zabrania się rozmawiać po polsku. Większym jeszcze bezprawiem, bo stosowanym przez władze niemieckie powszechnie na okupowanych terenach, i to oficjalnie, było opieczętowanie mieszkań tych Polaków, którzy do 20 września z ucieczki nie wrócili. A trzeba wiedzieć, że wielu powędrowało daleko i nie mogło na czas powrócić. Ci po swym powrocie zastali mieszkania zamknięte, najczęściej pozabawione cenniejszych przedmiotów i mebli, na drzwiach zaś widniała nalepiona czerwona karta z napisem: *Beschlagnahmt*<sup>3</sup>, zabraniająca wstępu prawowitym właścicielom.

Przejdźmy do spraw tragiczniejszych. Pewnego dnia, około połowy września, znalazłem się podczas pracy obok Hieronima Lipki. Zwiertzył mi się, że w czasie rewizji, podczas jego pobytu „na ucieczce” znalaziono w jego mieszkaniu ćwiczebny karabin oddziału Związku Strzeleckiego i to bez zamka. To wystarczyło, aby się do niego „pryczepili”. Nachodzono go, aby zamek oddał albo wskazał miejsce jego przechowania. Lipka powoływał się na mnie jako na świadka, że zamek przy karabinie nie było. Nikt jednak mnie w tej sprawie nie pytał. Tego samego dnia pod wieczór odwołano go z pracy i umieszczono we wspomnianym już pokoju Molendy. Późnym wieczorem nadjechał samochód, Lipkę wywołano z pokoju znajdującego się na piętrze i podczas schodzenia ze schodów zbito niemiłosiernie. W komendanturze, mieszczącej się na parterze, dokonano masakry. Przejmujący grozą krzyk rozległ się po wszystkich zakątkach

<sup>3</sup> skonfiskowane

domu. Wreszcie zbitego prawie do nieprzytomności załadowano do samochodu i odwieziono do sądu w Szubinie, gdzie następnego dnia wraz z innymi więźniami został rozstrzelany. Dla wielu ofiar z pierwszych tygodni wojny były to losy typowe.

Podobny los spotkał Wacława Alwina. Właśnie powracał on z ucieczki i ledwo zdążył dojść do domu, przywitać żonę i dzieci, a już *Hilspolizei*, powiadomiona przez Niemkę nazwiskiem Kotke, otoczyła dom i zabrała Alwina ze sobą. Pędzono go z rękami wzniesionymi ku górze do aresztu, gdzie przesiedział całą noc. Wczesnym rankiem więźnia wyprowadzono, zbito i wywieziono do obozu w Szubinie. W jakiś czas później został rozstrzelany. Mieszkanie Alwina doszczętnie zdemolowano. Tak odpłacano mu za to, że wielu Niemcom nie władającym językiem polskim pisywał wnioski do władz polskich przed wojną.

W znęcaniu się nad ofiarami i biciu do krwi najciężniejszy udział brali Bade i młody Zempel, znani z wielkiej bezwzględności. Biada przejeżdżającym przez Rynarzewo, a nie zaopatrzonym w odpowiednie dokumenty.

Oto zaobserwowany obrazek:

Zatrzymano rowerzystę wjeżdżającego na rynek. Ponieważ nie okazał przepustki, której jako powracający uciekinier posiadać nie mógł, popędzono go do komendantury. W drodze raz po raz na plecy jego spadały razy, zadawane grubą nahajką. Następnie zamknięto go w areszcie, gdzie o głodzie siedział dwa dni, po czym został zwolniony. Bardzo często zamiast zwolnienia następowało odtransportowanie do Szubina.

Okradano także Polaków, którzy wracali z ucieczki. Na rynku odbywała się rewizja, podczas której zabierano bieliznę, pieniądze, zegarki i inne wartościowe rzeczy.

Prócz wyżej wspomnianych osób zabrano do obozu w Szubinie z Rynarzewa na początku października Izzydora Szulca, a z okolicy — Franciszka Zuchelkowskiego i Stanisława Kudłacika. Najkrwawszy jednak terror przeżywała pobliska wieś Władysławowo, gdzie aresztowano a następnie rozstrzelano (w Szubinie) trzynaście osób. Sprawcami tego terronu byli czterej miejscowi hitlerowcy: Kollmann, Munt, Trams i Majer. Ostatniego przychwycono w styczniu 1946 roku. Przyznał się do sześciu mordów, dokonanych w Barcinie. Z dniem 1 października przybyła do Rynarzewa kompania wojska

na trzytygodniowy pobyt. W tym czasie utemperowali się trochę najaktywniejsi miejscowi hitlerowcy. Dwaj żołnierze z kompanii, pochodzący z Frankfurtu nad Menem, kwaterowali u mnie. Zwrócili oni uwagę na fakty, świadczące o swobodzie, jaką cieszyli się Niemcy w Polsce przedwrześniowej. Nie mogli wyjść z podziwu, że honorowe miejsce na rynku zajmuje kościół ewangelicki, do którego uczeszczala wyjącznie ludność niemiecka, bo ewangelikami w naszej okolicy byli tylko Niemcy. Gdy jeszcze dowiedzieli się, że w sąsiedniej wiosce, oddalonej o cztery kilometry od Rynarzewa, znajdowała się szkoła niemiecka, zaś dzieci miejscowych Niemców pobierały systematycznie naukę języka niemieckiego i religii ewangelickiej, nie tali swego oburzenia na propagandę sięjącą w Niemczech kłamstwa o przesładowaniach mniejszości niemieckiej w Polsce. Niebawem wojsko to opuściło Rynarzewo, a w trzy dni później znalazłem się w obozie internowanych w Szubinie.

#### W KCYNI

W dniu 1 września masy uciekinierów z przygranicznych okolic przewalały się ulicami miasta, porywając za sobą miejscową ludność. Drugiego, a ostatecznie 3 września Kcynia opustoszała. Tegoż dnia w nocy wojsko polskie rozstrzelało niemieckiego nauczyciela Zinna za dawanie znaków przelatującym samolotom niemieckim. Wobec masowej i doskonałej zorganizowanej dywersji na tyłach naszych wojsk wydarzenie to było zupełnie możliwe. Rano tegoż dnia był nalot na Kcynię. Zjawił się najpierw samolot wywiadowczy, a później dwa bombowce, które zrzuciły niecelnie bomby na wiadukt kolejowy, trafiając w cegielnię. Nieco później nadleciał jeszcze jeden bombowiec i rzucił kilka bomb zapalających na dom Matei, na którym wojsko polskie umieściło dwa karabiny maszynowe.

Dnia 4 września wycofało się nasze wojsko na Szubin — odwrót zamykała kompania Obrony Narodowej. W samo południe został wysadzony przez nich most przy stacji, nad torem Szubin—Kcynia. Cofający się żołnierze ujęli Niemca Struga z ważnymi papierami; uciekał on dwukrotnie, ostatecznie jednak przychwycono go i ewakuowano. W nocy z 4 na 5 września miejscowi Niemcy, którzy ukrywali się przeważnie po wsiach, podpalali w Kcyni i okolicznych wioskach stogi żyta i stodoły należące do Polaków, a po po-

wrocie Polaków z ucieczki oskarżali ich o podpalanie. Szóstego września wczesnym rankiem wkroczyli Niemcy zolnierzem do miasta od strony Nakła, w kilku nielicznych grupach. W ciągu następnych dni przez Kcynię przeszły większe siły niemieckie, kierując się na Kutno i Warszawę. Miejscowi hitlerowcy zorganizowali już uzbrojoną straż i rewidowali na wszystkich drogach powracających Polaków w poszukiwaniu broni, rabując co cenniejsze przedmioty. Jednocześnie dokonywali pierwszych aresztowań. Zatrzymanych osadzano w niemieckiej komendanturze miasta, w domu Kozłowskiego, mieszczącym się na kcyńskim rynku. Tam wydawano wyroki śmierci. Rozstrzelano za miastem w okopach wojskowych. Sędzią był baron Rosen, dziedzic z Grocholina. Dokonywano także mordów bez wyroku, przeważnie nocą.

W mordowaniu i katowaniu wyróżniły się dwie osoby spośród miejscowych hitlerowców: Seidel z Dębogóry i Berg, komendant obozu internowanych w Szubinie. Pierwszym jego wyczynem było rozstrzelanie kilkudziesięciu Polaków, przeważnie z Dębogóry i okolicy. Miejscem straceń był pobliski las. W Tupadach wymordował całą rodzinę leśniczego Jabłońskiego. Zwłoki pomordowanych przez dłuższy czas leżały na polu nie pogrzebane. Berg zastrzelił również gospodarza Szklarka z Łankowic; miał on z nim jakieś dawne osobiste porachunki.

Pierwsze egzekucje z wyroku barona Rosena nastąpiły w dniu 6 września. Tragiczną kartę rozstrzelanych zapoczątkowali: burmistrz miasta Kcyń, Drodździński, oraz Kazimierz Kowalewski i krawiec Szubert, oskarżeni przez sąsiadów Niemców Bajesdorfa i Kranza z powodu sporu o miedzę. Następną ofiarą był robotnik z młyną. Kruczek. Podczas rewizji osobistej znaleziono przy nim brzytwę; szedł właśnie, by ogolić kolegę. Był to powód do aresztowania i osadzenia w więzieniu na zaledwie pół godziny, gdyż wyrok śmierci był wydany natychmiast. Został rozstrzelany pod klasztorem. Prowadzony na stracenie, błagał bezskutecznie o darowanie życia. W odpowiedzi zwyrodniali oprawcy hitlerowscy rozbili mu kłobami czaszkę i nos, a chwijającego się już na nogach kłuli bagnętami w plecy. Był to chyba największy męczennik w Kcyń w tych strasznych dniach. Działo się to 15 września. W tym samym dniu zginął robotnik Michalski z żoną.

Z kolei wymienić należy Mateję, rozstrzelanego za to, że na jego domu umieściło wojsko polskie karabin maszynowy. Rozstrzelano także Sylwestra Chlebowskiego, pisarza adwokackiego. Nie sposób wymienić tu wszystkich osób, które padły ofiarą, w tych pierwszych tygodniach okupacji. Do komendantury przywózono także ludzi aresztowanych po wsiach. Przymuszczalna liczba straconych w tym czasie sięga czterdziestu osób.

W nocy z 16 na 17 września spalono kcyńską bóżnicę, a 17 września rano (była to niedziela) zwolano wszystkich Żydów na rynek, zarzucając im dokonanie podpalenia.

Zarządzono więc, że o 1 w południe tegoż dnia mają się wszyscy Żydzi ponownie zebrać na rynku. W mieście (tak się złożyło) były tylko same niewiasty, gdyż młodzież i mężczyźni albo uciekli, albo jeszcze z ucieczki nie wrócili. Kazano więc kobietom zabrać najkosztowniejsze rzeczy, jak biżuterię, futra itd., zabierając natomiast zabierania większego bagażu. Zebrano się kilkanaście kobiet. Wówczas nadjechało SS dwoma samochodami i przeprowadziło rewizję; wszystkie kosztowności zabrano. Oddział żołnierzy (sami młodzi) wyszedł z podwórza hotelu Rosa, gdzie byli zakwaterowani. Połowa z nich miała karabiny, połowa zaś łopaty. Odczyli przerżone kobiety i z gotowymi do strzału karabinami wyprowadzili je za miasto ku Piaśnicy, gdzie znajdowały się okopy. Tam wszystkie kobiety rozstrzelano i pogrzebano. Prowadzone domyślały się zapewne, co je czeka. Podniósł się więc lament i krzyk jeszcze w mieście, na ulicy Libelta. W czasie egzekucji jeden z żołnierzy nie mógł swej ofiary zastrzelić — oddał trzy strzały i wszystkie były niecelne. Wówczas zameldował dowódca, że rozkazu nie może wykonać. Ukaraną za to został trzema dniami ścisłego aresztu, a egzekucji dokonał inny żołnierz. Owa Żydówka strasznie lamentowała, błagała o litość, wreszcie w rozpaczny przekleła cały naród niemiecki.

Po dokonanej egzekucji żołnierze SS wrócili do miasta i obrabowali sklepy polskie z piemiędzy, a domy żydowskie splądrowali.

Za przykładem innych miast wyznaczono w Kcyń spośród Polaków dwudziestu zakładników. Po upływie czterech do sześciu tygodni zmieniono ich. Początkowo zakładnikami byli sami mężczyźni, później w połowie mężczyźni, w połowie kobiety. Zakładnicy meldować się musieli dwa razy dziennie w komendanturze. W myśl ogłoszenia

w razie śmierci Niemca z ręki Polaka każdy piąty zakładnik miał być rozstrzelany.

Pewnego dnia podjechała kuchnia połowa do dzielnicy zwanej Grabowo, zamieszkałej głównie przez bezrobotnych; rozdawano kobietom i dzieciom strawę. Te „akcje dobroczynną” Niemcy fotografowali dla prasy, aby pokazać swemu narodowi i całemu światu biedę w Polsce i swoje „młodsierdzie”.

Pewnej niedzieli rano zarządzona została przy klasztorze zbiórka wojska i cywilnych Niemców. Zebranych podzielono na grupy, te zaś obstały wszystkie ulice, by nikt z Polaków nie wymknął się z miasta. Kilku wyznaczonych Niemców wchodzilo do mieszkań Polaków, rejestrowało ich oraz nakazywało, by począwszy od dnia następnego, stawili się do kopania kartofli i buraków w majątkach niemieckich w Rozstrzembowie i Szczepicach. Pracowało się tam nawet podczas ulewnej deszczu i oczywiście bez jedzenia.

Nie mniejsze ofiary w tych dniach grozy poniosła okolica Kcyńni, szczególnie jej północna część, gdzie położone są wsie: Sipiory, Ludwikowo, Kowalewo, Studzienki, Weronika, Iwino, Łankowice, Dębogóra. Wymienione wioski podane zostały krwawemu terrorowi i ucierpiały szczególnie mocno. Nie dziwnego — podlegały one przecież władztwu dwu rozszalałych bestii: Seidla i Berga.

#### W ŁABISZYŃNIE

Łabiszyn nie przeżywał grozy rozstrzeliwań w takich rozmiarach, jak inne miasta powiatu, a szczególnie Kcyńnia i Szubin. Ofiary z Łabiszyna szły do obozów i tam ginęły. Miasto natomiast poniosło największe w powiecie ofiary na skutek działań wojennych, które były tu bardzo intensywne. W Łabiszynie krzyżują się drogi w stronę Bydgoszczy, Szubina, Żnina i Barcina; tymi drogami przewalały się w pierwszych dniach września fale uciekinierów.

Trzeciego września nastąpiło pierwsze silniejsze bombardowanie, powtórzone dnia następnego. Zrzucano killkanaście bomb, było kilku zabitych i rannych. Wśród zabitych byli: Blochowiak (murarz), Sliżwiński (szofer), Marian Ponczek (gimnazjalista), Byczyński, Dycharnowicz (robotnik), nieznanymi chłopiec z Kcyńni, nieznanymi mieszkańiec Nakła.

Ranione zostały trzy osoby, z których jedna (Waligórska) zmarła.

w szpitalu. Cofające się wojsko polskie wysadziło 6 września mosty koło rzeźni miejskiej (droga do Szubina) i koło młynna (droga do Bydgoszczy). Równocześnie został spalony most na wyspie. W mieście pozostało tylko sześćdziesięciu pięciu żołnierzy. Szóstego września około godziny 15 doszło do pierwszej wymiany strzałów między cofającymi się oddziałami wojska polskiego a nacierającym nieprzyjacielem. Polacy otworzyli ogień z kulomiotów, na co Niemcy odpowiedzieli najpierw ogniem artylerii od strony północnej i południowej, a później z bliższej już odległości użyli gartaczy i karabinów maszynowych. Obustronna strzelanina trwała do godziny 21. Pierwsze oddziały niemieckie weszły do miasta 7 września w godzinach rannych, od strony północnej (ulice: 11 Stycznia i Sienkiewicza) oraz od strony południowej (ulica Szubińska). Podczas następnych dwu dni przez Łabiszyn przeszły dwie dywizje, kierując się dalej na Inowrocław. W Łabiszynie zatrzymywały się jedynie niewielkie grupy żołnierzy, którzy naprawiwszy mosty, podążali zaraz dalej. Przy tej okazji, zatrzymując się od czasu do czasu, żołnierze ci flukli szyby, i plądrując, rozbijali wejścia do mieszkań, opuszczonych przez Polaków. Grabieży dokonywali zresztą głównie Niemcy mieszkający w Łabiszynie i w najbliższej okolicy. Pozamijscowi wynosili łupy na plecach lub wywozili rowerami, wozami i motocyklami. O zmroku żołnierze poszukiwali polskich dziewcząt, które na szczęście uciekły, jak cała prawie ludność Łabiszyna.

Dziwiącego września wojsko niemieckie aresztowało ukrywających się w piwnicy Józefa Głydy i Brunona Grzemskiego. Po przesłuchaniu przewieziono ich do Łądu na Pomorzu Zachodnim. Tu było ogółem osiemset siedemdziesiąt ludzi, w tym czterdziestu Żydów i ośmiu księży maltretowanych w różny sposób. Często karą oprócz bicia, było przywiązywanie do drzewa w pozycji stojącej na dwa nacie godzin lub trzydniowa głodówka. Wobec braku możliwości zarzucenia Grzemskiemu jakiegokolwiek czynu przestępczego został on zwolniony 13 listopada, Głyda zaś w grudniu 1940 roku.

Szesnastego września zjawili się w mieszkaniu Franciszka Palki miejscowi hitlerowcy Feldt i Krause, rozkazując mu stawić się do pracy; rodzinie Palki oznajmiono, że wkrótce wróci, więc nie potrzebuje niczego ze sobą zabierać. Brat tegoż, Kazimierz Palka, zamieszkały w Ojrzanowskich Nowinach, stał już w otoczeniu dwu Niemców przed domem. Zabrano obydwu do parku miejskiego. Na miej-



scu rozkazano im kopać sobie groby. Franciszek Palka był poważnie chory i narzekał, że jest słaby i nie ma sił. Uderzono go kolbą w szczękę, wyłamując ją i również kolbą dobito. Starszego. Kazimierza Palke, wzbraniającego się iść, bito po drodze, postrzelono, w parku zaś dobito. Winą śmierci obu braci była miejscowa Niemka, Ulm. Do wniosła ona władzom niemieckim, że bracia ci brali udział w powstaniu wielkopolskim. Jednemu z nich zarzucano ponadto, że był komendantem Przysposobienia Wojskowego.

O dokonanej zbrodni rodzina żadnych informacji uzyskać nie mogła. Tylko krążące wieści mówiły o egzekucji w parku. Na skutek tych pogłosek żona Franciszka Palki w kilka dni po zbrodni odkopała groby, które spozstrzegła w parku. W dwu grobach znalazła sporo zwłok ludzkich, jednak na zwłoki męża i szwagra nie natrafila. Dopiero za trzecim razem znalazła zwłoki obu braci, spoczywające w jednym grobie. Po wojnie ciała ich zostały ekshumowane i złożone na cmentarzu.

Władzę w mieście po wkroczeniu wojsk niemieckich objęli milicjoscowi hitlerowcy: Otto Primus i Herman Fidełski. Nie sprawowali jej jednak długo, gdyż około 20 września przeszła ona w ręce komendanta Lichta (absolwent gimnazjum polskiego). Rozpoczęły się straszne dni internowania.

Jako pierwszych wzięto: mecenasa Karola Klugera, Mikołaja Jabczyńskiego, Maksymiliana Hübnera i Wojciecha Strzeleckiego. Dwu ostatnich — z powodu wyroku dożywotniego więzienia, wydanego przez sądy polskie. Na Klugerze wywarł zensnę hitlerowiec Jahn, który często sprzeczał się ze swym sublokatorom na tle politycznym. Jabczyński zginął za wyrzuczone do swego lokatora, Niemca, słowa: „Skoro za komorne płacić nie możesz, niech ci Hitler pomoże”. Wszystkich czterech przewieziono do obozu w Szubinie i następnie rozstrzelano.

Dwudziestego pierwszego września wyszli na szosę do pracy jak zwykle: Wojciech Nowaczyk, Franciszek Tomaszewski i Bronisław Kosincki; więcej do domu nie wrócili. Zostali zabici przez miejscowych hitlerowców: Polcyma, Teclaffa, Teskiego i Puklisza. O zbrodni dowiedziała się tego samego dnia żona Kosinckiego od naocznego świadka, Piotrowskiego, który przejeżdżał szosą i słyszał strzały oddawane do ofiar. Niemcy, którzy prowadzili uwięzionych, żądali od przejeżdżającego wydania o nich opinii. Piotrowski wyparł się zna-

jomości ze skazańcami. Osmego grudnia 1945 roku znaleziono zwłoki. Nosily ślady bicia i kopania, czaszki były pogniecione i połamane. Hitlerowcy prześladowali nawet rodziny pomordowanych. Żonę Kosinckiego, chorą na grypę i żołądek, matkę czworga dzieci, wywieziono do robot w polu, dzieci zaś pozostały na łasce obcych ludzi.

Piętnastego września żandarmeria polna aresztowała Antoniego Wudzińskiego z Załachowa i osadziła go w więzieniu w Łabieszynie, gdzie przesiedział dwa dni. W pośpiechu przeprowadzonym dochodzeniu uznano go winnym śmierci czterech Niemców z Załachowa, zabranych w pierwszych dniach września przez wojsko polskie i rozstrzelanych w Obielewie. Wudziński — jako podsołtys — przeprowadzał rekwizycje bydła na rzecz wojska, przez co naraził się na nawiść miejscowych hitlerowców. Na podstawie powyższych zarzutów skazano go na śmierć przez rozstrzelanie. Dnia 17 września wyprawdzono go na rynek w Łabieszynie, bito, kopano, a gdy osłabiony padął, podnoszono go i ponownie bito. Spędzono na rynek również zamieszkałych w mieście Polaków, aby byli świadkami mającej się odbyć egzekucji. Egzekucji dokonało wojsko. Jednemu z Polaków, Lapikowskiemu, wyrwały się słowa oburzenia na tak barbarzyńskie postępowanie, po wypowiedzeniu których natychmiast zbiegl. Rzucono się za nim w pogoń, wzdłuż kanału. Lapikowski schronił się w drwalni i w ten sposób uratował życie.

W listopadzie aresztowano Antoniego Nowaka, a wraz z nim księdza Kaczmarka i leśniczego Frankowskiego. Tło sprawy było następujące:

Dnia 2 września Antoni Nowak, urzędnik wójtostwa, internował na rozkaz władz polskich Niemca Puffala z miejscowości Ojzanowskie Nowiny. Was (młodszy) ze Smogorzewa, widząc prowadzonego Niemca, miał powiedzieć: „Nie prowadźcie go, a powieście?”. Za te słowa dwóch Wasów (ojca i syna) rozstrzelano, uprzednio bijąc ich i kopiając. Egzekucji dokonał osobście ów Puffal, w łasku na Ojzanowskich Nowinach. Z tej przyczyny wymieniony wyżej Antoni Nowak ukrywał się. Krytycznego dnia wszedł do domu, by żonę powiadomić o miejscu swego pobytu. Ktoś zauważył jego zjawienie się... Przybyła policja, obstawiła dom i dokonała aresztowania. Przy aresztowaniu obecny był Puffal, który zabranego przez całą drogę na oczach żony nielitościwie kopał. Ponieważ aresztowany był lekko ubrany i głodny, żona chciała mu podać odzież i trochę żywności, lecz

Puffal na to nie zezwolił. Przez tydzień trzymano Nowaka w Łabiu, następnie przewieziono do Bydgoszczy, gdzie ślad po nim zaginął. Trzynastego czerwca 1940 roku przysłała z Mauthausen wiadomość o jego śmierci. Osierocił czworo nieletnich dzieci.

#### W BARCINIE

Aby zrozumieć wypadki, które miały miejsce w Barcinie, trzeba się cofnąć do pierwszych dni wojny. Z chwilą jej wybuchu internowano ze względu na bezpieczeństwo wielu Niemców z całego powiatu, a nawet z dalszych stron i zwieziono ich do Barcina, stąd odtransportowano ich dalej w głąb Polski. Kilku uznanych winnymi przestępstwa zdrady państwa rozstrzelano w Barcinie i w pobliskim Szczepankowie. Nadmienić trzeba, że z miejscowych Niemców nie rozstrzelano nikogo: wszyscy oni wrócili szczęśliwie do swych domów.

W dniu 6 września rano został w piwnicy szkolnej zastrzelony przez żołnierza polskiego pewien internowany hitlerowiec za próbę ucieczki. W tym czasie urzędował w szkole Polski Czerwony Krzyż, a służbę w nim pełniła Apolonia Reinkówna. Żołnierz przyprowadził do piwnicy internowanego; klucz do piwnicy zniósła Reinkówna. Kiedy żołnierz otworzył piwnicę i wpuszczał nowo internowanego, inny Niemiec, który się tam już przedtem znajdował, wysunął się, próbując ucieczki. Wówczas żołnierz podał Reinkównie lampę, sam zaś dobywszy broni, wezwał go do powrotu do piwnicy. Kiedy wezwanie nie poskutkowało, a uciekający wysunął się coraz bliżej drzwi wyjściowych, żołnierz zastrzelił go. Wkrótce potem posypały się od strony ulicy Dmowskiego (prawdopodobnie z domu Langedo) i z ulicy Polnej (młyn Wirta) gęste strzały ku szkole. Strzelali miejscowi Niemcy. Wtedy to znajdujący się w mieście polscy żołnierze odpowiedzieli również strzałami. Salwy karabinowe ze strony Niemców ustały. Ta strzelanina spowodowała, że Barcin w krótkim czasie zupełnie opustoszał z reszty ludności polskiej. Pozostało tylko kilku członków straży obywatelskiej z Züllsdorfem na czele.

W czwartek, tzn. 7 września rano, cofający się żołnierze polscy wysadzili most na Noteci. Jeszcze tego samego dnia do miasta wkroczyły wojska niemieckie, kierując natarcie na Mogilno.

Po zajęciu miasta służbę objął natychmiast *Selbstschutz*, złożony

z miejscowych Niemców. Na jego zarządzenie miejscowy proboszcz ksiądz Nowicki otrzymał polecenie, aby ogłosił w kościele, że Polacy mają się podporządkować nowym władzom, a tym, którzy są bez winy, nie grozi nic złego. Rzeczywiście, do czasu powrotu z ucieczki Polaków do Barcina Niemcy zachowywali się spokojnie. Wkrótce jednak zaczęło dziać się inaczej. Nastąpiła pierwsza fala aresztowań miejscowych i okolicznych Polaków, których umieszczono w piwnicach gorzelnii, katując przy tym w nieludzki sposób. Dwudziestego września wywieziono z piwnic trzech Polaków i poprowadzono ich wśród popychań i przekleństw na rynek, przed szkołę. Tu ich pojedynczo postawiono pod mur i rozstrzelano. Niemcy zbrali się gromadnie na rynek, by uczestniczyć w egzekucji i nadać jej charakter manifestacji. Nazwiiska tych pierwszych rozstrzelanych w Barcinie to: Franciszek Rzepka z Barcina, Franciszek Nowakowski z Słoboszewka i Jan Markiewicz z Pturka. Specjalnie wyróżniała się postawa Nowakowskiego, który mimo złamania szęki w czasie niemiłosiernego katowania przed egzekucją, szedł na śmierć pewnym krokiem.

Odtąd już dalsze aresztowania w Barcinie i okolicy następowały szybko jedno po drugim, obejmując masę ludzi, dla których zabrakło już miejsca w piwnicach gorzelnii, szkoły i miejscowego posterunku policyjnego. Wywożono więc aresztowanych do Szubina i do Bydgoszczy. Dwudziestego czwartego września po południu urządzono na rynku przed apteką publiczne biczowanie kilku wyprowadzonych z piwnic nieszczęśliwców. Schyłonych, w pozycji na czworakach, bito rzemieniami, batogami, kopano. Jęki rozlegały się na rynku i u wyłotów przyległych ulic.

Wspomnieć także trzeba o uciekinierach, którzy bardzo licznie w powrotnej drodze przejeżdżali przez Barcin, udając się do swoich miejsc zamieszkania. W Barcinie byli oni zatrzymywani na rynku, gdzie poddawano ich szczegółowej rewizji, rabując przy tej okazji, co się tylko dało: konie, bydło, rowery, pieniądze, biżuterię — słowem wszystko. Wielu z nich aresztowano i wszelki ślad po nich zaginął. Tak było np. z Hieronimem Komasińskim z Rynarzewa.

Wyjątkowo ostre rewizje przeprowadzono po domach i to w następujący sposób: wszyscy domownicy, jak stali, musieli wyjść na ulicę i czekać często kilka godzin, aż szczegółowa rewizja, niby w poszukiwaniu broni, nie została ukończona. Przy tej okazji znówu wielu

aresztowano. Jednych z powodu znalezienia w ich mieszkaniach starej i bezużytecznej broni lub fusiek od naboju, części radioodbiorników, innych dlatego, że znaleziono u nich większe zapasy żywności, odzieży, bielizny, tzn. przedmiotów „pochodzących na pewno z kradzieży”.

Publicznie ogłoszono obowiązek stawiania rano na zbiórce do pracy. Młodzież wywieziono do majątku Grochlin, gdzie musiała bardzo intensywnie pracować, źle odżywiana i bez należytych warunków mieszkaniowych.

Z początkiem października przybyło do Barcina wojsko, które pozostało tu już przez całą zimę. Urządzało ono oblawy po okolicznych wioskach i drogach na tych, którzy jeszcze z ucieczki nie powrócili i przypuszczalnie ukrywali się. Żołnierze głośno opowiadali, że idą na *Hasenjagd*. Dla zagwarantowania sobie bezpieczeństwa, wyznaczono z miejscowych obywateli zakładników. Co tydzień inna dziesiątka zjawiała się w przeznaczonym dla zakładników mieszkaniu Züllsdorfa. Tu zamknęci na klucz, bacznie strzeżeni przez posterunek wojskowy, spędzali długie bezczynne godziny. Wyżywienia dostarczały rodziny zakładników trzykrotnie w ciągu dnia. Czerkrotnie zmieniano zakładników. Po czwartej zmianie nowych już nie wyznaczano ze względu na rozpoczynające się wysiedlenia.

Aresztowania w październiku nie ustaly ani na chwilę. Między innymi aresztowano Kurta Błażyńskiego, Antoniego Tomczaka, Stanisława Rogowskiego i Apolonię Reinkównę. Ostatnią, pod zarzutem uczestniczenia we wspomnianej egzekucji na Niemcu. W czasie przesłuchania bito ją, by zdradziła żołnierza polskiego, który egzekucji dokonał. Zachowywała jednak do końca postawę godną Polki. Aresztowanie jej nastąpiło 16 października, 19 po południu wywieziono ją do więzienia w Szubinie. Po kilkakrotnym badaniu przez gestapo sąd wydał wyrok, na mocy którego rozstrzelano ją wraz z innymi w Szubinie w sobotę, 21 października, o godzinie 10 rano.

Dziewiętnastego października aresztowano Kwiatkowska, żonę dyrektora wapienników w Wapiennie. Doprowadzono ją, pod silną eskortą, złożoną z kilku członków *Hilfspolizei* z bronią, wycelowaną i gotową do strzału, do więzienia w Barcinie. Swą postawą dawiała budujący przykład innym. Dnia 21 wywieziono ją do więzienia w Szubinie, skąd po dwu tygodniach odstawiona została do Bydgoszczy. Po

kilku dniach wywieziono do obozu w Szubinie księdza Nowickiego wraz z miejscowym i okolicznym nauczycielstwem.

Osobna wzmianka należy się grupie jedenastu osób aresztowanych w dniu 11 października 1939 roku, w której byli: Michał Wójcicki, Antoni Wiśniewski, Drodzowscy (ojciec i syn), Kazimierz Cyganek, Feliks Ruchaj, dwaj Wierzechostawscy, Franciszek Mułżyński, Kazimierz Krzewiński i Stanisław Rybarczyk; wszyscy oni zginęli bez śladu. Dziewięciu z nich zostało aresztowanych na skutek denuncjacji jednego z miejscowych Polaków, przesłanej do zandarmerii. Denuncjacja ta zachowała się w aktach zandarmerii; przekazano ją po wojnie polskiemu władzom sądowym. Donos wskazywał na wymienionych jako na tych, którzy pod wodzą „herszta bandy”, Züllsdorfa, uprawiali bandytyzm, dokonywali z bronią w ręku napadów na auta wojskowe i żołnierzy Wehrmachtu, rabując mienie armii niemieckiej. Ów całkowicie zmyślony donos nosi datę 7 października 1939 roku, aresztowanie nastąpiło 11 października. Jedynie Züllsdorf zdążył na czas zniknąć, dzięki czemu się uratował.

Aresztowanych załadowano do krytego samochodu i wywieziono do więzienia w Bydgoszczy. Traktowano ich jak najgorszych przestępców. Jeszcze 24 października zylili, lecz niebawem słuch o nich zaginął. Zapewne zwłoki ich kryje jeden z masowych grobów pod Gniewkowem, dokąd wywieziono transport szubiniaków. Wraz z nimi przebywali w więzieniu Musiałowski i Willk z Białychołt, Kramiejewska z Ojrzanowskich Nowin i Wójcicki z Wapienna. O dalszych ich losach także nic nie wiadomo. Jeżeli chodzi o okolicę Barcina, to największe bodaj ofiary poniósł Mamlicz; zginęło tam aż szesnaście osób. Również polskie Złotowo powiększyło znacznie listę ofiar powiatu szubińskiego.

#### W SZUBINIE

Jeżeli Szubin w opisie krwawych przeżyć pierwszych dni okupacji znalazł się jako ostatni w kolejności miast powiatu, to nie dlatego, by wydarzenia przebiegały tu spokojniej. Przeciwnie — tu zbiegały się nici całego powiatu, tu wiele tragedii zapoczątkowanych gdzie indziej znajdowało swój krwawy epilog.

Wojska niemieckie wkroczyły do opustoszałego Szubina w środę 6 września, w sile około dwudziestu ludzi, na dwóch samochodach

i kilku motocyklach. Miejscem postoju był rynek. Tymi samochodami zwozili z okolicy aresztowanych, umieszczając ich w więzieniu i areszcie miejskim; tu także lokowano aresztowanych szubiniaków. Wnet jednak rozpoczęły się rozstrzeliwania, na skutek czego dla nowo aresztowanych miejsca nie zbrakło. Żołnierze niemieccy dokonywali również rabunku sklepów polskich, podczas nieobecności właścicieli, łamiąc drzwi i tłukąc szyby. Zrabowany towar masowo ładowali na samochody i wywozili.

Jeszcze przed wkroczeniem wojsk ukonstytuowały się nowe władze miejskie: komendantem miasta został Hugo Stellter, burmistrzem — Ristau, sędzią — Schramm, prokuratorem — Fritz Krüger. Byli to najwięksi oprawcy w tych pierwszych dniach okupacji. Oni zorganizowali *Selbstschutz*, oni wydawali nakazy aresztowań i osądzali na śmierć. Stellter wraz z kilku okolicznymi hitlerowcami zatrzymywał także powracających z ucieczki, przeprowadając brutalne rewizje i rewizycje. Biada tym, którzy w jego ręce wpadli! Dobrze, jeżeli żyłcie umieśliście cało! Kto się ociągał lub tłumaczył, że broni nie posiada, był bity i kopany. Mężczyzn prowadzono ze wzniezionymi rękoma do magistratu, skąd jedni wracali, inni nie. Klekające niewiasty, błagające bezskutecznie o zwolnienie swych najbliższych, również bito. Podczas rewizji dokonywanych przed magistratem wszystkie cenniejsze przedmioty, rowery oraz bydło zabierano. Ze szczególną zaciekłością tłuczono obrazy religijne i łamano krzyże, zabrane przez niektórych Polaków „na ucieczkę”. To był wstęp do niszczenia krzyży i figur przydrożnych, które wkrótce potem zostały wywrócone lub podcięte.

Obraz ulicy szubińskiej w tych dniach okropne czynił wrażenie. Typową scenę z tych dni stanowił przebieg aresztowania Jana Nogi w dniu 17 września. Prowadzono go do więzienia z podniesionymi rękoma, wśród bicia pałkami, kopania i ohydnych wyzwisk. Eskortę stanowiła zgraja oprawców, złożona z miejscowych hitlerowców.

Pierwsze rozstrzeliwania odbyły się w dniu 8 września. Dnia tego rozstrzelano na ulicy, przed gmachem Banku Ludowego, jako pierwszego w ogóle, Mateusza Kalkę. Przy jego zwłokach umieszczono napis: „Rozstrzelany według prawa wojennego”. W kilka godzin później rozstrzelano koło starostwa Tomasza Dzikowskiego z Kolačkowa, zawieszając przy nim podobny napis. Obu tych mordów dokonął Siebernick z Kolačkowa. Jako trzeciego w tym dniu zamor-

## VI. W OBOZIE INTERNOWANYCH

DNIA 23 października około godziny 4 po południu przybył do mego mieszkania żandarm niemiecki z członkiem *Hilfspolizei*, polecając mi udać się następnego dnia do Szubina i zgłosić się w starostwie u obersturmbannführera Schmuca. Słyszałem już coś niecoś o obozie internowanych w Szubinie, mogłem więc przeczuwać, jakie będą następstwa tego polecenia. Jedno tylko utwierdziło mnie w nadziei powrotu do domu — dnia poprzedniego zostałem zarejestrowany przez *Arbeitsamt* w Szubinie jako robotnik szosowy; wystawiono mi nawet kartę pracy. Według zaś zapewnień Niemców, w obozie zamknięto tylko ludzi próżniujących.

Dnia następnego, dla mnie pamiętnego, bo była to pierwsza rocznica urodzin mego synka, pożegnawszy się na wszelki wypadek z rodziną, udałem się do Szubina. Żonie oświadczyłem, że jeżeli na godzinę 1 w południe nie wrócę, nie powinna mnie się już spodziewać. Przybywszy do starostwa, zgłosiłem się we wskazanym pokoju. Urzędował w nim niesympatyczny, wysoki mężczyzna o wysuniętej dolnej szczękę i twarzy bez cienia ludzkiej litości; był to komendant obozu, Berg. Wypytawszy, kim jestem, skąd i na czyje polecenie przybywam, wezwał młodzieniaszka, może od niedawna mającego na sobie spodnie z długimi nogawicami, ale dzięki zielonej opasce na ramieniu udającego bardzo ważnego, i wręczył mu naprędce napisaną kartkę. On wiedział już, co czynić. Zapewne nie pierwszy raz funkcję tę wykonywał. Polecisz iść przed sobą, prowadził mnie ku zabudowaniom Wojewódzkiego Zakładu Wychowawczego. Zorientowałem się, co to znaczy. Chodziło mi tylko o to, aby spotkać w drodze znajomą osobę, i przez nią posłać zawiadomienie żonie. Niestety — nikt się nie nawinął. Ale u żony już tego samego dnia krótko po południu zjawił się ten sam żandarm z tym samym członkiem *Hilfspolizei*, oświadczając, że nie powinna martwić się o męża, bo „mu

nie nie grozi". Drugi zaś dodał szyderczo: „Mąż będzie się uczył w obozie języka niemieckiego”.

My tymczasem doszliśmy do zakładu — siedziły obozu. Tuż za plotem ciągnął się szereg słupów wysokich na trzy metry, do których przymocowano kilkanaście sznurów drutu kolczastego, opasujących naokoło główne gmachy zakładu. Bezpośrednio za tym parkanem w kształcie czworoboku biegł drugi, podobny, a wzdłuż ogrodzenia maszerowały tam i z powrotem posterunki wojskowe. Z widokiem tej nieprzebytej zapory kojarzyła się mimo woli myśl o ucieczce. Uświadomiłem sobie od razu, że byłoby to niepodobieństwem.

Mijamy bramę obozu. W bramie znowu posterunek wojskowy. Za chwilę znaleźliśmy się w kancelarii obozu. Formalności meldunkowe załatwiono szybko i skierowano mnie, już bez „ochrony”, na piętro do sali nr 2. Była godzina 11. Gmach o tej porze pusty, obóz cały przy pracy. W sali nr 2 rzędy żelaznych łózek, taborety, stół. Widok ten nie czyni na mnie wrażenia obozu internowanych. Za chwilę zjawia się jeden z lokatorów tej sali, dziś zwolniony z pracy z powodu rany na głowie. Postawa przygarbiona, raz po raz powtarza się bolesny skurcz twarzy. Prędko następuje zapoznanie się. Dowiaduję się, że moim rozmówcą jest, dziś już nie żyjący, Szulczewski ze Stupowa, brat byłego posła z powiatu szubińskiego. Wdajemy się w długą rozmowę. Podaję szeptem nowiny wojenne, nie rzucając za ich prawdziwość; są mimo to chwiejnie przyjmowane. Szulczewski objaśnia mi wszelkie tajniki życia obozowego. Zwiędzany i inne sale, których jest razem pięć. Przekonuję się, że żadna nie równa się pod względem wyposażenia z salą nr 2. Największa sala, nr 3, mieszcząca około pięćdziesięciu internowanych, ma podłogę szczebelnie zawaloną siennikami. Łóżek ani śladu. Gorzej jeszcze jest w salach nr 4 i 5. Tu nawet sienników brak, a zmęczony pracą grzbiet ludzki rozprostowuje się na potarganym barłogu ze słomy. Właśnie na tej sali nr 5 ulokowany jest brat mojego towarzysza, były poseł Szulczewski. Wnet mój przewodnik wyjaśnia mi tajemnicę nierównego traktowania internowanych. Początkowo i inne sale korzystały z łózek, jednak z powodu ciągłego przybywania coraz to nowych „ochotników” musiano łóżka, a nawet sienniki usunąć. W krótkim czasie spodziewać się należy „zeleischaltowania” wszystkich sal.

Zbliża się godzina 5 po południu. Zmęczyło mnie te sześć godzin spędzonych bezczynnie. Uświadamiam sobie, że tylko praca może

być wybawieniem dla zamkniętego tu „niebezpiecznego elementu”. Ona daje okazję wyjścia na świat, a umysł wyrzyna z niebezpiecznego odręwienia. Wreszcie gmach napelnia się gwarem. Więc już wracają! Cięższe się niezmiernie, że po dłuższym czasie znowu nadarza się okazja zobaczenia wielu znajomych. Są rymarzewiacy, jest grono kolegów, inspektor szkolny Leśniewski, kilku księży, są urzędnicy starostwa, jest kilku przedstawicieli policji, wspomniany już poseł Szulczewski, a wreszcie wielu towarzyszy bliżej mi nie znanych — razem około stu osób. Nie ma prawie miast i wioski, nie ma zawodu, który nie byłby tu reprezentowany.

Serdycznym powitaniem nie ma końca. Z każdym trzeba kilka słów zamienić, każdy zaczyna od najaktualniejszego pytania: „Co słychać?” Tu i ówdzie zbiera się gromadka, głowa przy głowie i, już szeptem, płyną zaszyszane wiadomości ze świata. Z kolei i ja o to i tanto pytam. Jako nowicjusz jestem mało zaradny. Wobec braku miejsca na sali nr 2 przenoszę się na salę nr 3, gdzie rymarzewiacy przyjmują mnie gościnnie, odstępując mi miejsce leżące na jednym boku, a przykrycie we dwójkę jednym kocem. Wnet i łyżka, kubek i miska się znalazły.

Mój właściwy pobyt w obozie, z zastosowaniem się do obowiązków rygorów, rozpoczął się dopiero od dnia następnego. Teraz dopiero mogłem się zorientować, jaki jest całodzienny rozkład życia obozowego. Trzeba przyznać, że wstawanie, mycie i porządkowanie było czynnością dosyć dowolnie wykonywaną; odbywało się to między godziną 5.30 a 6.30. O tej to godzinie dyżurni sal udawali się po śniadanie, a właściwie po całodzienny prowiant, na który składało się pół kg chleba i sto g różnej jakości wyrobów mięsnych. Do tego dochodziła oczywiście kawa. Śniadanie więc i kolacja nie różniły się. O godzinie 7 przed gmachem, w którym kwaterowaliśmy, odbywała się codzienna zbiórka, połączona z kontrolą obecnych. Stałymi gośćmi na nich byli: komendant Berg i jego prawa ręka, Thon, mający w sobie coś z lisiej chytrności, coś z ruchów kłowna cyrkowego, oraz kilku wachmanów z bronią. Zbiórka była często okazją do szykan ze strony Berga i Thona. Ten ostatni przy łada okazji, niejednokrotnie bez powodu, jak np. zbyt cicha odpowiedź na stawiane pytania, bił internowanych po twarzy. Berg zaś, zwracając się do księży, nazywał ich zwykle „polami”. Po odkomenderowaniu chorych i kandydatów na

badanie formowano grupy i ruszono pod komendą wachmanów do pracy. Grupy pracujące bliżej obozu wracały tu na obiady, innym dowożono go na pola. Ogólne zetknięcie się wszystkich następowało znówu wieczorem po powrocie z pracy. Ten czas wieczornej swobody należał do najprzyjemniejszych. Dzieleno się wiadomościami zewsząd znoszonymi, zajądano ze smakiem, dzieląc się z najbliższymi darami zdobytymi gdzieś po drodze lub przy pracy. Po kolacji znalazł się czas i na rozrywkę: jedni siadali do kart, grając w ulubionego skata, inni z niewyczerpaną ciepłością rozgrywali partie szachów. Jedni i drudzy na brak kibiców narzekać nie mogli. A wiadomo — kibic latwo człowieka z równowagi wyprowadzi, więc i o scysję nie było trudno.

W sali nr 2, a później w pokoju zajmowanym przez nauczycieli, rej wodził Jasio Sosabowski, którego święte kawały, a jeszcze świetniejszy sposób ich opowiadania przyprawiały słuchaczy o spazmy śmiechu. Nieraz i miejsca wkoło niego brakło.

W listopadzie wyszło zarządzenie kłaniania się żołnierzom i wszystkim cywilom noszącym zielone opaski na ramieniu. Grupa jako całość nie stosowała się do tego nakazu. I byłoby wszystko w porządku, gdyby nie brak solidarności końcowych czwórek, które pewnego dnia podczas przemarszu przez rynek, nie stosując się do postawy czolowych czwórek, świadomie czy też odruchowo ukloniły się przechodzącemu żołnierzowi. To go zreflektowało. Natychmiast cały oddział brutalnie zwymyślał i przeciwiczył w prawdziwym kłanianiu się. Jednak i dalej wyłamywaliśmy się z tego nakazu, czy to pojedynczo czy grupowo, co często było powodem zaciętych sprzeczek starszych, zwolenników podporządkowania się zarządzeniom, z młodymi — przeciwnikami kłaniania się.

Pewnego listopadowego dnia rozniosła się po obozie wieść, że następnego dnia księża i nauczyciele zostaną wywiezieni pod Grudziądz. I rzeczywiście — rano nie zarządzono normalnej zbiórki do pracy, tylko ogłoszono, aby być gotowym do podróży. Wieść ta lotem błyskawicy już dnia poprzedniego obiegła Szubin i dotarła do Łabiszyna, Kcyńi i Rynarzewa oraz do okolicznych wiosek. Tego więc dnia, w którym miał nastąpić wyjazd, odbywała się nieustanna procesja rodzin, krewnych i znajomych, aby pożegnać się, wręczyć bieliznę i upominek na drogę. Posterunek wojskowy przy bramie nie czynił

nawet żadnych przeszkód we wzajemnym porozumiewaniu się odwiedzających i odwiedzanych.

Następnego dnia jedna z naszych grup przygotować musiała nowe kwatery w gmachu mieszkalnym urzędników zakładu, a więc urządzić barłogi ze słomy, ogrodzić dom gęstą siecią drutu kolczastego, wreszcie dokonać przeprowadzki naszego majątku ruchomego. Tu znikły już resztki dotychczasowego komfortu; sienniki i krany wodociągowe w salach, a zastąpiły je barłóg słomiany i pompa podwórza. Jedyną dobrą stroną nowej kwatery było to, że pokoje przydzielono grupowo według zawodów lub wykształcenia. W ten sposób obok siebie znaleźli się ludzie zbliżeni zainteresowaniami i związanymi wykonywanym przed wojną zawodem; wszyscy zresztą stałsiśmy się teraz pracownikami fizycznymi.

Księża nie zagrzali długo miejsca na nowej kwaterze. Już trzeciego dnia wieczorem ogłoszono im, by się przygotowali do wyjazdu, mającego nastąpić wczesnym rankiem dnia następnego. Nieoficjalnie mówiono, że zostaną wywiezieni do Świecia i umieszczeni w klasztorze. W rzeczywistości zaś wywieziono ich ciężarowym samochodem pod konwojem wojskowym do Górnej Grupy pod Grudziądzem, stąd zaś do obozu koncentracyjnego w Stuthofie.

Życie od przeprowadzki nie uległo zmianie. Zmieniło się tylko miejsce zbiórki, która dawniej odbywała się na dziedzińcu obozu, obecnie zaś na szosie przed zajmowanym budynkiem. W czasie rannej zbiórki, kiedy lekki wietrzyk zawiął od strony polbińskiego cmentarza żydowskiego — miejsca straceń skazanych, powonienie drażnił zaduch zgnilizny z rozkładających się tam ciał, bardzo płytko zagrzebanych. Przykry to zapach, jeszcze bardziej przykre uczucie, jakiego w tym momencie doznawaliśmy.

Wachmani, właściwie chłopcy piętnasto-, szesnastoletni, noc całą zmieniając się co kilka godzin, strzegli nas pilnie, byśmy nie próbowali opuścić „gościnnych” progów nowego mieszkania. Emerytowany nauczyciel, Walczak z Wolic pod Barcinem, wstawał zwykle bardzo wcześnie i budził towarzyszy, a na wymówki pod swoim adresem odpowiadał humorystycznie: „Trzeba zobaczyć, czy wachmani przy padkiem nie uciekli i nie zostawili nas samych bez opieki. Bo co by to było?” Ale wachmani uciekać nie myśleli! Raz nawet przysłano osławionego Stelltera na nocną wartę — może dla siania trwoży. Można sobie wyobrazić nastrój obozu na jego widok. Karty znikły,

zarty ustaly, a głos Stelltera, raczej do ryku podobny, przestraszeniem napelniał wszystkich. Wydawało się, że nawet budynek przestraszony drzy w posadach. Biada, jeżeli o godzinie 20 światła nie były pogaszone! Powstawała „Sodoma i Gomora”. Odetchnęliśmy dopiero, gdy go w pobliżu nie było. Zupenie inny nastrój panował, gdy wartę nocną obejmował Kotolinski. Przybywał zwykle w dobrym humorze, bo kieliszkiem nie gardził, siadał między nami i opowiadał różne dowcipy i przeżycia ze służby w wojsku polskim, o którym nigdy nie wyrażał się źle. Godzina gaszenia światel szła wówczas w zapomnienie.

Chciałbym przytoczyć jedną, jeszcze ciekawą obserwację poczynioną w obozie. Pracowałem w grupie, której zadaniem było m. in. dożenie jedzenia dla Baltendeutschów, Niemców przesiedlonych z końcem 1939 roku do Wielkopolski z terenów Litwy, Łotwy i Estonii. Owi Niemcy batyccy przechodzili na obiad całymi rodzinami. My zaś, dostarczywszy bańki z jedzeniem na salę, zatrzymywaliśmy się przy specjalnie dla nas postawionym stoliku. Wchodzący Niemcy nie zawsze orientowali się, kim jesteśmy. Pomyłki były na porządku dziennym. Nieraz witali nas pozdrowieniem: *Heil Hitler*, my jednak solidarnie milczeliśmy. Częściej mówili: *Guten Tag*, na co my odpowiedziałśmy podobnie. Owi Niemcy byli to przeważnie ludzie prości, bezpretensjonalni, pozbawieni buty, cechującej wówczas miejscowych Niemców. Może przyczyną tego było przygnębienie, wywołane przymusową przeprowadzką z dalekich stron rodzinnych w granice nowej Rzeczy? Pewnego dnia zdarzył się zabawny incydent. Kiedyśmy, jak zwykle, zasiedli w przedpokoju przy stole, wpadł sprężyстым krokiem młody, wylegantowany i wypomadowany SA-mann, przybyły z okręgu na inspekcję czy też na przeszkolenie. Jeszcze jedną nogą znajdował się w sieni, a już wypalił: *Heil Hitler!* W myśl rozkazu zerwałem się z krzesel i przyjąłem postawę zasadniczą, lecz odpowiedzią na jego pozdrowienie było ogólne milczenie. Nie zorientowany jeszcze, odzywa się miękkim głosem: „Proszę siedzieć, przecież jesteśmy panami”. Widocznie w tym duchu szkolono prowadzonych Niemców. My jednak pozostaliśmy nieporuszeni i milczący jak głazy. Dopiero wówczas zorientował się, z kim ma do czynienia, i wzburzony, twardym głosem krzyknął: „Wy jesteście pewnie Polakami!”<sup>4</sup> Odpowiedzieliśmy chórem twierdząco. W tym momencie on, już nie czekając potwierdzenia, które sam sobie dopowiedział, energicznym

pociągnięciem otworzył drzwi prowadzące na salę i równie energicznie, jakby ze złością, za sobą je zatrzasnął. Krótko pobyl w Szubinie, lecz życzliwego spojrzenia nigdy dla nas nie miał. My zaś byliśmy tym zajęciem ubawieni i komentowaliśmy je niejednokrotnie.

Większe skupienie ludzi, zamkniętych w ciasnocie i zmuszonych żyć w warunkach nie uwzględniających najprymitywniejszych wymogów higieny, kryje w sobie jedno wielkie niebezpieczeństwo, któremu na imię — wszy. Wyjątkowo długo ustrzegliśmy się od nich. Wreszcie jednak dosięgły nas. Pojawily się — przynajmniej u mnie — już po przeprowadzce na nowe „mieszkanie”, gdzie senniki zastąpiło no barlogiem, na którym sfoczeni zazywaliśmy błogiego snu. Na pierwsze rzadkie swędzenia ciała nie zwracałem początkowo uwagi, nie przypuszczałem bowiem, że niepożądany gość już się u mnie zagnieździł.

Pewnego wieczora zauważyłem, że w sąsiedniej izbie dokonywano przeglądu bielizny. Tknięty przeczućmi zacząłem robić to samo. Wszy upodobały sobie nie wszystkich jednakowo. Szczególnie nastawowały dyrektora Górskiego z Lubostronia, który staczał z nimi sztyfową walkę. Odtąd co wieczór usmiercałem kilka, pozbywając się ich gruntownie dopiero „na wysiedleniu”.

## VII. GESTAPO SZALEJE!

I GDYBY tyle tylko można było powiedzieć o obozie szubińskim, że był to pospolity obóz pracy, w którym internowanym zagwarantowano odpowiednią opiekę i traktowanie jako „jednostkom produktownym na rzecz państwa niemieckiego”. Nie praca jednak była dla inicjatorów obozu istotnym motywem jego założenia. Właściwą tragedią obozu było widmo śmierci, które nieodłącznie nam towarzyszyło, by w najmniejszej spodziewanym momencie, na oczach oступiającego obozu, wyrwać coraz to nową dziesiątkę towarzyszy i skreślić ich z grona żyjących. Kto następny? — oto pytanie, które myśl mąciło i sen z powiek spędzało. Niepewność losu przyszniała wszystkim. A gdy wreszcie powoli spokój na nowo zagościł w naszych umysłach, grom uderzał. Gestapo dawało znać, że jest, że działa.

Dwie istniały drogi odmarszu internowanych po odbyciu rannej zbiórki całego obozu — do pracy i na badania. Pierwsze wnosilo do duszy spokój, drugie — niepokój i trwogę. Ustalonym porządkiem przeznaczonych na badanie wywoływano przy porannym apelu. Biata karta w ręku komendanta obozu wyjaśniała wszystko. Sto kilkadziesiąt par uszu wyteżalo słuch w oczekiwaniu na dźwięk swego nazwiska. Zrozumiałe — wywołany na badanie jest obciążony jakimś zarzutem, a od tego niedaleki krok do pozebrania się z tym światem. Nareszcie, nazwiska padły. U większości myśl napięta do najwyższych granic, doznaje ulgi. Jest jednak kilku, których jasność myśli paralizuje lekki zawrót głowy. Trudno się dziwić! Gestapo nie żartuje. Odchodzący do pracy rzucają słowa pokrzepienia, sami w nie nie wierząc. Ale taki już jest utarty zwyczaj!

Reakcja u oczekujących na badania jest rozmaita. Jedni, zewnętrznie opamowani, spokojni, zamknieni w sobie, nie zdradzają ochoty do rozmowy. Tylko wzrok błędny zdradza wewnętrzną niepokój. Drudzy nerwowi, przeczuwają, najgorsze, na wszelką ewentualność wypowiadają ostatnie polecenia z prośbą o przekazanie ich rodzinom.

Równocześnie jednak ludzą siebie samych zapewnieniem o całkowitym braku winy. Jeszcze inni modlą się w głos, a równocześnie wątpią zupełnie w możliwość ratunku. Są przesadnie sugestywni na cudze słowa pokrzepienia i otuchy. Ich postawa fizyczna zdradza silne załamanie duchowe.

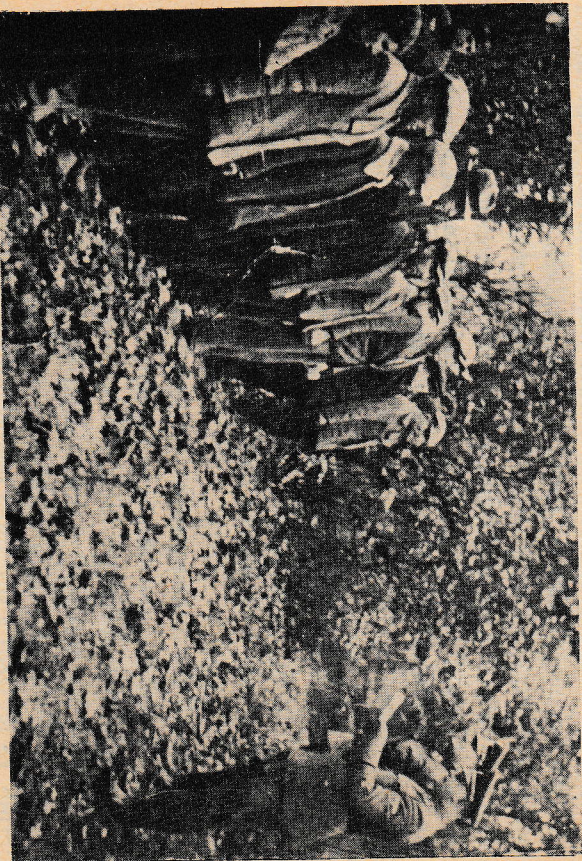
O oznaczonej godzinie odprowadzano tych nieszczęśliwców pod strażą do gmachu starostwa. Tam w narażonym pokoju od strony podwórza urzędowało gestapo. Badania przeprowadzał najczęściej gestapowiec Tiedemann w towarzystwie sturmbannführera Schnucka i znanego nam już Berga. Zadaniem pozostałych gestapowców było bicie przesłuchiwanego, w czym byli zresztą doskonale wyspecjalizowani. Zarzuty stawiano badanym rozmaite — rzadko prawdziwe, najczęściej zmyślone. Do najczęstszych należały: udział w powstaniu wielkopolskim, internowanie Niemców, rekwizycja, praca w organizacjach niepodległościowych, jak w ogóle wszelka praca społeczna, zatarg z Niemcami o miedzę itp. Wystarczyło niestudne oskarżenie któregoś z Niemców, pragnącego zagarnąć Polakowi mienie, by zginąć, jak to miało miejsce np. z kierownikiem szkoły w Turze. Jedyną winą wszystkich oskarżonych było chyba to, że byli dobrymi Polakami.

Badanych wpuszczano pojedynczo, sprawdzano personalia, po czym przystępowano do „normalnej ceremonii”: bicia po głowie, twarzy, rękach, kopania, nakazów klęczenia z podniesionymi rękami, przysiadów itp. Najbardziej maltretowano członków Towarzystwa Powstańców i Wojaków. Starca Mázanego z Barcina zbito tak niemilosie, że wyszedł z sińcami i obrzękami na twarzy, rękach i głowie. Wróciwszy do obozu, rzucił się na barłóg, nie chcąc nawet najbliższym udzielić wyjaśnień z obawy, by nie powtórzono tej operacji. Zarzucano mu wydanie w roku 1919 w ręce żołnierzy polskich oficera niemieckiego. Podobnie postąpiono z powstańcami z Szubina: Cerkaskim, Dypczyńskim, Szramkowskim i innymi. Nie sposób tu opisać wszystkich przeprowadzonych badań. Były wypadki, że badanych natychmiast po przesłuchaniu izolowano od reszty obozu, czy to w specjalnym budynku obozowym, stojącym w odosobnieniu, czy to w więzieniu. Na tych wyrok został już wydany. Egzekucji dokonowano tylko przez rozstrzelanie na pobliskim żydowskim cmentarzu. Zapowiedzią egzekucji było kopanie grobu przez obozowiczów nie-



zdolnych do pracy. Tajemnicą jednak osłonięte było, komu go przeznaczano.

Pierwsza egzekucja z terenu obozu miała miejsce na początku października; dokonana została za murem żydowskiego cmentarza. Jej ofiarą padli: Karol Kluger z Łabiszyna, Paweł Suszek, Grzegorz Kałuski i Andrzej Paliwoda z Malicza. Trzem ostatnim zarzucono wzięcie powstania w Maliczu i rzekome przygotowanie listy Niemców, których należy rozstrzelać. Ci mogli musieli sobie sami wykopać.



Ryc. 3. Odczytywanie wyroku przed egzekucją w dn. 21 X 1939 r. w Szubinie

Siedemnastego października nastąpiła druga egzekucja; objęła ona trzy osoby. Byli to: Jan Tielman i Roman Drzewucki z Jabłówka oraz Franciszek Harmaciński z Zielonowa. Tielman i Harmaciński zostali na dzień przed śmiercią doprowadzeni do obozu i umieszczeni w osobnym budynku. Do nich dołączono przebywającego w obozie Drzewuckiego. Stąd wyprowadzeni zostali na miejsce straceń — na cmentarz żydowski.

Następnej z kolei egzekucji dokonano w dniu 21 października. Z więzienia miejskiego wyprowadzono jedenaście osób skazanych na stracenie, między nimi wspomnianą już A. Reinkównę z Barcina.

Prowadzono ich ulicą, Keyrską w stronę zakładu. W drodze z niewyjasnionych przyczyn skierowano na powrót do więzienia Rychtera i dwu innych, ósemkę zaś zatrzymano przed bramą obozu, tu dołączono Napieralskiego i Wituckiego, przebywających w obozie (obaj pochodzili z Barcina). Pod silną eskortą poprowadzono ich na ten sam cmentarz, gdzie po odczytaniu wyroku nastąpiło jego wykonanie. W egzekucji tej brał między innymi udział oficer SS Weitendorf z Frankfurtu nad Menem. Bezpośrednio po dokonanym morderze przyszedł on do Szpitala Powiatowego w Szubinie, prosząc o opatrzenie



Ryc. 4. Grupa barcinkańców przed sądem gestapo

wywichniętego palca. Nie mógł się uspokoić. Przed oczy ciągle powracał moment śmierci Reinkówny. Do siostry niemieckiej, dokonującej opatrunku (siostra polska nie mogła być obecna) miał wyrzec słowa: „Oczu tej kobiety nie zapomnę”.

Wiadomość o rozstrzelaniu tej dziesiątki Polaków rozplakatowano oficjalnie na terenie całego powiatu.

I znowu nastął tydzień spokoju. Odzyskiwalismy powoli równowagę, a nawet humor. Życie ma swoje prawa.

Dwudziestego ósmego października wieczorem jak bomba pada rozkaz natychmiastowej zbiórki nowej dziesiątki. Szło to blyskawicznym tempem. Nie było nawet czasu pożegnać się z najbliższymi. Tym razem poszedł i mój towarzysz Wacław Alwin z Rynarzewa, z którym sypialiśmy na jednym sienniku. Zdażył tylko przekazać ostatnie pozdrowienia dla rodziny i znikł na schodach. Prócz niego poszli: Stanisław Losy, Antoni Tomczak, Kurt Błazyński, Idzi Szulc, Mikolaj Jabczyński, Bolesław Tacka, Wojciech Strzelecki, Maksymilian Hübner i dwóch nie znanych mi mężczyzn. Posłuchajmy, co o ich dalszych kolejach mówi Stanisław Losy z Barcina, jeden z tej dziesiątki cudem uratowany, można rzec — „zmarłychwstały”.

„Na dany rozkaz zbiegliśmy na parter i na korytarzu uszeregowaliśmy się w dwójki. Zbiórkę przeprowadził Berg. Poprowadzono nas do aresztu w sadzie i umieszczono w dwóch celach po pięć osób w każdej. Tam przebywaliśmy przez czterdzieści osiem godzin, bez jedzenia.

Trzydziestego października o godzinie 16.45 zjawilo się dwóch gestapowców, którzy weszli do cel pojedynczo. Tu odebrali nam dokumenty, po czym zarządzili zbiórkę przed aresztem. Nastąpił odmarsz dwójkami pod eskortą na cmentarz żydowski. Egzekucji dokonano kolejno w dwóch grupach po pięć osób równocześnie. Znalazłem się w pierwszej piątce. Stanęliśmy w już wykopanym dole. Strzelano do nas z tyłu z ręcznego karabinu maszynowego. Nie zostałem trafiony śmiertelnie, tylko raniomy w lewą rękę niżej ramienia, w szyję i lewe ucho. Straciłem jednak przytomność i upadłem do mogiły. Wówczas nastąpiła egzekucja drugiej piątki. Ciemno było, gdy odzyskałem przytomność. Usłyszałem rozmowę. Jeden z grabarzy — Donke — rzekł przy zasypywaniu, myśląc o mnie: „On żyje, trzeba go dobiec”. Drugi jednak nie dał temu wiary. Po skończonej pracy poszli. Byłem tylko lekko przysypiany, więc łatwo się wygrzebałem. Udałem się na Winnicę pod nr 19, gdzie mieszkaly siostry szpitalne: Regina i Faustyna. Byłem skrzwawiony i zbrudzony ziemią. Siostry udzieliły mi szybko pierwszej pomocy. Opatrunek był celowo bardzo prowizoryczny, aby w razie przychwyccenia nie zwróciła uwagi fałszywość jego założenia. Z ust siostry Reginy już po zakończeniu wojny dowiedziałem się, że później wycieorem zauważyli oprawcy moje zniknięcie i z latarkami w ręku poszukiwali mnie po terenie cmentarza. Następnego dnia siostry niemieckie rozmawiały między sobą,

że na pewno mnie znajdują, gdyż byłem ranny. Ja tymczasem udałem się do domu Kazimierza Bakki, mieszkającego w rynku. Tu młody Bakka spalił moje ubranie, dając mi w zamian inne. Po krótkim wy-poczynku udałem się do Kotodziejewa pod Inowrocław, gdzie miałem brata nauczyciela. Ciężką tę i niezapomnianą drogę przebyłem w osiemnastu godzinach. Brata jednak nie zastałem na miejscu, lecz w Inowrocławiu. Tu pozostałem trzy i pół tygodnia, wreszcie prze-prawiłem się do tzw. «Generalnej Gubernii».

Była to ostatnia egzekucja na miejscu. Odtąd nie dokonywano ich na żydowskim cmentarzu w Szubinie, lecz wywożono skazanych poza rejon Szubina, a nawet powiatu. Wyjazd każdej grupy otoczony był mgłą tajemniczości. Zwykle nadawano mu pozor wyjazdu do pracy.

Pierwszy taki transport odszedł w dniu 9 listopada. Dnia tego cały obóz nie poszedł do pracy. Wiedzieliśmy, że nastąpi jakieś przegrupowanie. Wersje mówiły o wyjeździe nauczycieli i księży do Grudziądza. Byliśmy wszyscy spakowani i gotowi do drogi. Wiele rodzin — nawet z dalekich okolic — zdołało dostarczyć czystą bieliznę i pożegnać się z bliskimi sobie osobami. W południe doprowadzono z więzienia grupę ośmiu osób, aresztowanych dnia poprzedniego, w której znajdował się ksiądz Sobociński z Samokłeska i nauczyciel Józef Rumiński z Turu.

Tymczasem około godziny 14 wydany został rozkaz przygotowania się do drogi szesnastu osób — w tym sześciu osób przybyłych dopiero co z więzienia (wylączono księdza Sobocińskiego i drugą osobę nie znanego mi nazwiska). W dziesiątce starych obozowiczów znajdowali się nauczyciele: Stanisław Stachowiak ze Słonaw i Józef Knach z Dobieszewa, dalej — Jan Kozłowski, Wacław Kowalski, Michał Polcyn ze Złotowa oraz Franciszek Kijewski z Królikowa. Nazwisk czterech osób nie ustalono.



Ryc. 5. „Zmarłychwstały” Stanisław Losy z Barcina

Oficjalnie oświadczono im, że wyjeżdżają do pracy do cukrowni w Żninie. To samo mówiono później rodzinom dopytującym się o los wywiezionych. Wyjeżdżającym polecono zabrać koce. Kolega Stachowiak przeczuwał jednak podstęp i zegnając się z każdym serdecznie, rozpaczal, powtarzając ciągle słowa: „Ja ginę niewinnie”. Ową dziesiątkę wywieziono samochodem pod eskortą w kierunku Żnina, po czym ślad po nich zaginął. Zostali rozstrzelani tego samego dnia, 9 listopada, przypuszczalnie na cmentarzu żydowskim w Żninie. Fakt i datę śmierci Kowalskiego w dniu 9 listopada stwierdził Szwajcarski Czerwony Krzyż, wydając rodzinie odpowiedni dokument. Późną została szóstkę zaś wywieziono osobowym samochodem pod silną eskortą do Dąbrówki Słupskiej i również tego samego dnia rozstrzelano.

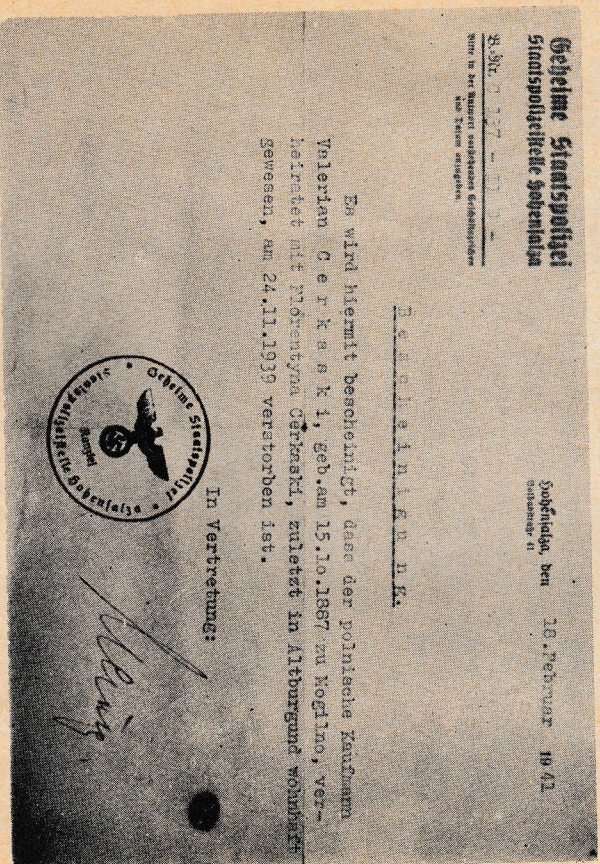
Spokój trwał do dnia 24 listopada. Tego dnia wywieziono nową grupę w liczbie dziesięciu osób, złożoną przeważnie z powstańców wielkopolskich. Wyjazd tej grupy nastąpił nagle. Odwołano ich od pracy, do której rano wyszliśmy, nie przeczuwając nic złego. Grupę tę w szybkim tempie załadowano na samochód i wywieziono w kierunku Żnina. Za Dąbrówką Słupską samochód ciężarowy zastąpiono trzema samochodami osobowymi, którymi dowieziono ich do Żnina i tam na żydowskim cmentarzu rozstrzelano. Po przybyciu na miejsce wszyscy musieli się położyć twarzą do ziemi. Na rozkaz trójka podnosiła się, podchodziła na krawędź grobu, zdejmowała marynarki i kamizelki, po czym zniemacka pojedynczo oddawano do nich serię strzałów z rewolwerów. Egzekucji dokonało gestapo. Grób wykopalni więźniowie znińscy. Grobów tych z czasem przybyło w Żninie więcej, jednak grób szubiniaków był od innych oddzielony. Na osobne podzielenie zasługującej cynizm, z jakim gestapo powiadomiło o rozstrzelaniu rodziny dopytujące się o los wywiezionych. Zainteresowanym wysyłano zaświadczenia, w których najspokojniej stwierdzano, że dana osoba zmarła.

Zwłoki rozstrzelanych polewano dla zatarcia śladów wapnem gąszonym, powodującym szybki rozkład ciał.

Na tym samym cmentarzu w Żninie rozstrzelano także przywiezionego oddzielnie Franciszka Jankowskiego z Kowalewa, grzebiąc go w osobnej mogile. Po dwu latach zwłoki jego wydobyto i w Balcewie pod Żninem spalono. Tak w późniejszym czasie usuwano ślady dokonanych zbrodni.

Była to ostatnia egzekucja, jakiej dokonano na internowanych w Szubinie. W dziesięć dni później zaczęto obóz likwidować. Około czterdziestu osób załadowano do pociągu, którym miał odejść pierwszy transport wysiedleńców. Reszta — około trzydziestu osób — pozostała w obozie do połowy stycznia, w którym to czasie włączono ich do drugiego transportu wysiedleńców. Obóz internowanych w Szubinie przestał istnieć.

Jeszcze kilka wyjaśnień końcowych, dotyczących wspomnianego obozu. Właściwą datą założenia obozu był dzień 24 września 1939



Ryc. 6. Takie zaświadczenia o śmierci zamordowanych wydawano rodzinom

roku. Dnia tego ścigano z miasta do gmachu starostwa dwunastu mężczyzn Polaków; dołączono do nich sześć osób doprowadzonych z więzienia i w południe tegoż dnia poprowadzono do dawnego Zakładu Wychowawczego, gdzie zdani zostali Häuslerowi, dawnemu pracownikowi tegoż zakładu. Wieczorem przybył do obozu starosta, sturmabannführer Schnuck i inni. Maltretowali oni internowanych, grożąc rozstrzelaniem każdego trzeciego, stawiając pod mur itp. Nauczyciela Błotnego i Drzewuckiego, później rozstrzelanych, zbito Niemilosiernie. W następnym dniu liczba obozowiczów wzrosła do

trzydziestu dwóch, by odtąd stale zwiększać się. Maksymalny stan obozu wynosił około sto osiemdziesiąt osób, w tym jedenastu księży i trzydziestu nauczycieli. Na skutek rozstrzelowań i pojedynczych wypadków zwolnień stan obozu ulegał ciągłej zmianie. W kancelarii obozowej prowadzono listę uczestników tzw. *Hauptbuch*, w której zatrudniony tam nauczyciel Palenkiewicz z Kcyńni, zanotował ostatniego internowanego pod numerem 285. W księdze tej wywożonych na śmierć skreślano czerwonym ołówkiem z dopiskiem: *Angeliefert nach Zinn*<sup>4</sup>, zaś zwolnionych skreślano zwykłym ołówkiem z dopiskiem: *Entlassen an...*<sup>5</sup> Gestapo w starostwie prowadziło drugą identyczną listę. Z podanego wyżej materiału wynika, że najkrwawsze — jak zresztą wszędzie — były miesiące październik i listopad 1939 roku. Pozostały czas do likwidacji obozu, tzn. do połowy stycznia 1940 roku, upłynął spokojnie.

<sup>4</sup> Odtransportowany do Żnina

<sup>5</sup> Zwolniony dnia ...

## VIII. WYWŁASZCZENIE Z OJCOWIZNY

ZACZEŁO się z końcem listopada 1939 roku. Pewnego dnia wydziałona z obozu grupa internowanych towarzyszy skierowana została do „Domu Polskiego”. Pracowali oni nad zasiwkami dookoła tego budynku, który miał być podobno miejscem odosobnienia dla Żydów, nalogowych pijaków czy wreszcie dla „niebezpiecznych elementów”.

Okazało się wkrótce, że mieli tu przebywać pierwsi wysiedleńcy.

Na prowincji wywłaszczenia rozpoczęły się wcześniej, lecz wieść o nich jeszcze do nas nie dotarła. Były to zresztą jeszcze wypadki sporadyczne. Na przykład w dniu 14 października wywłaszczono dwóch rolników z Rzędowa: Deglerera i Pełczyńskiego. Byli oni właścicielami wzorowych gospodarstw, dlatego też stali się obiektem pierwszych wywłaszczeń w powiecie. Pełczyńskiego wywieziono o dzień wcześniej samochodem do obozu w Szubinie. W drodze zbito go do krwi, tłukąc okulary i powodując obrzęki na twarzy. Rodzinie jego pozwolono wyjechać do krewnych w okolicy Żnina.

W samym Szubinie pierwsze wysiedlenia nastąpiły z końcem października. Wywłaszczono rodziny Waligórskich i Lechów, pozwalając im udać się do krewnych. Po tych odosobnionych wypadkach zapomniał względny spokój, trwający do 22 listopada.

Praca mojej grupy w obozie dawała każdemu z nas wyjątkową swobodę poruszania się po ulicach miasta, wynikało to z charakteru naszego zajęcia. Dwa dni po drugim listopada, gdy wychodziłem od fryzjera Redelbacha (dziś nie żyjącego), zadziwiła mnie na ulicy wyjątkowo duża liczba patrolujących członków *Hilfspolizei* z zielonymi opaskami. Zaledwie doszedłem do rynku, rozległy się okrzyki patrolujących: *Alle Polen runter von der Strasse!* Przechodzących Polaków spychano przy tym z chodników na jezdnię. Na ulicach Szubina zjawia się znana grupa oprawców: zastępca starosty — Reischel, komendant obozu — Berg, obywatel Szubina — Schramm, trzech żandarmerów i sześciu członków *Hilfspolizei* z karabinami — razem

dwanaście osób. Rozpoczęli swe „urzędowanie” od ulicy Nakiełskiej, gdzie w kilku minutach pozabawili dachu nad głową rodziny Szymańskich, Kepińskich, Alwinów i Wichłaczów. Z kolei „opracowano” ulicę 3 Maja. Tu ten sam los spotyka rodziny Cerkaskich, Firfasów i Czerwińskich. Jako najbliższa z kolei idzie ulica Kościuski, gdzie z listy mieszkańców wykreślono Florzkowskich i Jędraszkiwiczów. „Pracowity dzień” kończy się grabieżą mienia Jareckich z ulicy Kocyńskiej i Kapsów z ulicy Bydgoskiej. Ogółem w tym dniu wysiedlono około trzydziestu osób. Oprawy wchodzić właśnie do kamienicy Florzkowskich. Z domu na chodnik wysuwa się grupka osób: starszka Florkowska, słaniająca się na nogach, tuż przy niej małżeństwo Florkowscy i ich gospodyni z większym węzłkiem. Jeden z ubranych pędzi przed sobą ową grupkę w kierunku „Domu Polskiego”, owej „przystani uciśnionych”. Tu już internowani przygotowali uprzednio legowisko ze słomy.

Dnia 27 listopada liczba lokatorów „Domu Polskiego” powiększyła się o trzy osoby, dowiedziono bowiem z Rynarzewa Marię Szulcową z córką i siostrą. Wychodzenie z zamkniętego pomieszczenia było wzbronione. Jako wyżywienie otrzymywali chleb, kawę i dzienne dwa kilogramy mięsa na wszystkich. Potrawy musieli sobie przygotować sami.

W dwa dni później, bez pozostawienia chwili czasu na przygotowanie węzka wygnańczego, opuścić muszą mieszkanie i własny dom dwie starszki siedemdziesięcioletnie nazwiskiem Sporne, zamieszkałe przy ulicy Bydgoskiej. Tym jednak pozwolono udać się do rodziny na Winnicę. Pozostawione mienie Polaków przewoziłimy wózkiem do magistratu dla potrzeb Niemców bałtyckich. Nie dziw, że krew w nas burzyła się, gdyż było to nasze pierwsze bezpośrednie zetknięcie się z wołającym o pomstę do nieba usankcjonowanym, bezprawnym rabunkiem, do czego z czasem przyzwyczailimy się. Naszą rozterkę wewnętrzną powiększał widok płaczących — właścicieli grabionego mienia. Wracając do obozu w szóstkę, przeklinalimy swą pracę.

Nadszedł 5 grudnia. Był to dzień masowych wysiedleń z całego powiatu szubińskiego. W dniu następnym wyszedł pierwszy transport wysiedlonych. Na ulicach często widziało się następujące sceny: ulica 3 Maja, pod eskortą, kroczy małżeństwo z dwójgiem dzieci nieletnich i niemowlęciem w wózku. Od strony ulicy Szpitalnej prowadzi dwa

starszków, małe dzieci i ich rodziców. Przed domami gromadzą się strwożone grupki osób oczekujących swojej kolejki. Wpadam w porze obiadowej na krótko do kilku znajomych domów. Wszędzie widzę spakowany bagaż, wszędzie to samo przygotowanie do drogi i niecierpliwe oczekiwanie.

Podczas obiadu w hotelu Ristana „brunatna” siostra, kierowniczka obozu Niemców bałtyckich, oświadcza nam, że od dnia następnego obiady jadać będziemy już w obozie. Skończyła się więc sielanka „żołądkowa”! Jesteśmy szczerze zmartwieni. W tej chwili nie zdajemy sobie jeszcze sprawy, że jutro nastąpi likwidacja obozu Niemców bałtyckich, którzy objmą w posiadanie gospodarstwa po wysiedlonych Polakach.

Po południu przystępujemy do normalnej pracy. Około godziny trzeciej, przechodząc korytarzem, uchylam drzwi do mieszkania Gośków. Spostrzegam kierownika szkoły Włoszczyńskiego z Wasosa. Obok niego bagaż. Widząc moje zdziwienie, oznajmia, że wysiedlono go i przywieziono samochodem osobowym do Szubina, pozwalając przemocować u znajomych. Rano jednak polecono mu zgłosić się do „Domu Polskiego”, gdyż nastąpi ładowanie i wyjazd transportu w nieznaną. Ten sam żandar, który był po niego, udał się obecnie samochodem do Rynarzewa po moją rodzinę. Oniemiałem! Na to nie byłem przygotowany. Nie wiedziałem, że na prowincji powiatu dzieje się to samo co w Szubinie, i wiadomość ta uderzyła we mnie jak grom. Ochłonawszy biegnę na piętro i nowina tą przerazam kolegów. Normalny tok pracy dostaje w łeb, pęka dyscyplina. Czyż wobec tak hiobowych wieści można w ogóle myśleć o jakiejś pracy? Za chwilę wszyscy koledzy indagują Włoszczyńskiego. Każdy chciałby dowiedzieć się czegoś o swoich najbliższych. On jednak wie zaledwie tyle, że żandarm, na szczęście, to ludzki człowiek; zwozi samochodem rodziny nauczycieli. To mnie trochę uspokoiło. Chyba weźmie pod uwagę, że żona jest sama, z dwójgiem nieletnich dzieci.

Wracamy na piętro. Właśnie przybrywa nowy transport zrabowanej w ciągu dnia odzieży, nawet żywności. Czyż wobec niepewności, jak przedstawia się wyposażenie na drogę mojej rodziny, nie wolno mi było z grubsza się zabezpieczyć? Wkładam więc na siebie ciepłą bieliznę, pod sweter chowam dwa wehniane kaftanki dziecięce i czapkę. Koledzy przygotowują mi woreczek z cukrem i trochę smalcu. Tylko kolega Sosabowski nie przeczuł, że i jego żona jest już w dro-

dze do Szubina. Dopomagał wyposażyć mnie, sam o sobie nie myśląc. Zegnaliśmy z Kotolinskim, widząc, że iskiertka ludzkości tli się gdzieś w głębi jego jaźni. W drodze do obozu spotykamy wozy, samochody i autobusy, zwożące wysiedleńców z całego powiatu. W końcu jednak, kiedy „Dom Polski” zapelniony został do ostatnich granic możliwości, skierowujemy się ludzi do Zakładu Wychowawczego.

Póznym wieczorem przeprowadzeni bocznymi ulicami przez Niemca Domkego, naszego dozorcę, udajemy się z nauczycielem Bałką do „Domu Polskiego” na poszukiwanie swych rodzin. W Domu tłok, ścisk i płacz dzieci. Odnajduję zone i z kilku zamienionych z nią zdań dowiaduję się, że zandarm dokonujący wysiedlenia, okazał się rzeczywiście człowiekiem ludzkim. Dał godzinę czasu do spakowania się, radził, by zabezpieczyć się w ciepłą odzież oraz żywność, po czym usunął się z mieszkania. Tylko dwóch członków *Hilspolizei* jak czujne pieski warowało pod drzwiami mieszkania, nagłąc do pospiechu. Robię kilka kroków wśród cizby i zaduchu, by zobaczyć śpiące opodal dzieci. Rezygnuję jednak z tego zamiaru, odkładając ową chwilę do jutra. Rozglądam się po sali: jedni płaczą, drudzy modlą się w głos; ktoś rozdaje chleb; gdzieś bliżej ściany zameł! To ktośś z kobiet mdleje. Bliżsi rzucają się na ratunek. Mam dość. Szybko wysuam się na korytarz, by tu i tam zamienić słowo z krewnymi lub znajomymi, których tu wielu. Kolega Bałka wiele zmartwiony, gdyż rodziny swej nie odnalazł. Mamy wracać. Spotyka nas niemila przygoda. Wychodząc z „Domu Polskiego”, wpadamy w ręce obersturmführera Schnucka i komendanta naszego obozu Berga, który właśnie wysiadał z samochodu. Zajechał on dziwnie cicho i niespodziewanie, nawet warta się niczego nie spodziewała. Na ukrycie się nie było czasu. Zdażyliśmy się tylko usunąć w róg sieni poza plecy wartownika i naszego przewodnika. Jednak bystre i czujne oko obersturmführera odkryło naszą obecność. A może zdradziła nas okazała postać Bałki? Otrzymałszy od naszego przewodnika wyjaśnienie, że jesteśmy z obozu internowanych, poleca nam maszerować za sobą, po wszystkich korytarzach. Coś niepewnie czuję się na nogach. Oprrowadzaniem tym przedłuża naszą niepewność. Wreszcie staje i pyta, czego tu szukamy. Nasz przewodnik pospiesza z wyjaśnieniem, że przyszyliśmy po bieliznę.

— Tu po bieliznę? — mówi wielce zdziwiony.

— Tuż obok! — kłamię Domke, nie tyle w obronie nas, ile siebie samego.

Widzę, jak tamten zamierza się na nas swym nieodstępny biczem i wyrzuca rozkaz: *Aber sofort raus!*<sup>6</sup>

Dwa razy nie trzeba nam było tego powtarzać. Znikamy w ciemnościach nocy, szczęśliwi, że tak gładko udało się nam wyrwać z rąk najgroźniejszego człowieka na terenie powiatu szubińskiego. Komentując zajście, wracamy do obozu na ostatnią noc.

Cóż działo się w tym czasie w okolicy Szubina i na prowincji powiatu?

W Rynarzewie w dniu 5 grudnia, prócz mej rodziny, wysiedlono tylko Molendę, właściciela wielkiej reprezentacyjnej kamienicy. Innych wysiedlono następnym transportem. Odtransportowano również rodziny Zuchelkowskiego z Kornelina i nauczyciela Wawrzyńska z Pszczółczyzna. Obaj wymienieni przebywali już w obozie w Szubinie. Córeczka kolegi Wawrzyńska przebywała w tym czasie u krewnych o kilometr od Pszczółczyzna. Nie pozwolono na małe zboczenie z drogi, by matce umożliwić zabranie córki. Rozpraszanie rodzin podczas wysiedlania było faktem bardzo częstym.

Również w Wolwarku wywłaszczono kilka rodzin, odwożąc je ciężarówym samochodem do Szubina. Jedenastu gospodarzy wywłaszczono w ciągu pięciu minut już w połowie października, osadzając na ich miejsce Niemców-pogorzalców z Nowego Świata pod Szubinem. To samo działo się w innych wioskach.

W Barcinie wysiedlanie zaczęło się 5 grudnia w godzinach południowych. Do mieszkań wpadała zgraja kilkunastu członków *Hilspolizei* i dwu zandarmów, dając polecenie przygotowania się do drogi w ciągu dziesięciu minut. W wysiedlaniu brali udział hitlerowcy: Schultz, Hoppe, Straus i inni. Dwu z owej zgrai baczyło przez cały czas, by Polacy nie zabierali rzeczy „nieдозwolonych”, za co groziła użyciem broni. Potem odprowadzano wysiedlonych na miejsce zbiórki, którym była bóżnica żydowska. Niektórych chwytano wprost na ulicy i odprowadzano, nie pozwalając wstąpić do mieszkań i zabrać coś z odzieży. Odprowadzający korzystali z okazji, by napchnąć własne kieszenie cudzym groszem, kradnąc w mieszkaniach pieniądze. To samo czyniono w bóżnicy, twierdząc, że „na nowym miejscu pieniądże te będą nieważne”. Pokrzywdzonym odmawiano wydania zaświada-

<sup>6</sup> Natychmiast wynosić się!

czenia na odebrane kwoty pieniężne. Niektórzy Niemcy robili zdjęcia grup wysiedleńców przed domami.

W Łabiszynie dnia 4 grudnia o godzinie 23.30 woźny magistratu doręczył czteremastu rodzinom pisemne zawiadomienie o mającym nastąpić w godzinach rannych następnego dnia wysiedleniu. Jednak w dniu 5 grudnia wysiedlono jeszcze dodatkowo około czterdziestu rodzin, którym podano wiadomość na godzinę przed nakazaną zbiórka. Ponieważ zawiadomienie mówiło o możliwości zabrania wszystkich, co może być potrzebne, niektórzy przygotowali duże bagaze. W chwili wysiedlania zjawiała się komisja w składzie: burmistrz i pięciu policjantów, i dokonywała rewizji, zabierając większość przygotowanych rzeczy, a oddając najniezbędniejszą odzież i żywność.

Zbiórka wyznaczona była na godzinę 9 rano na rynku. Wysiedlonych załadowano na wozy (mężczyzn oddzielnie na pierwsze cztery), uszeregowano w długą kolumnę i odwieziono na punkt zborny do Szubina.

W Kcygni już dnia 22 listopada wyrzucono z mieszkań trzech obywateli z prawem udania się gdziekolwiek, nie pozwalając jednak nie zabierać ze sobą. Byli to: Jan Witucki i Piekarski, zamieszkali w rynku, oraz Kowalski z ulicy Poznańskiej. Dopiero 28 listopada przyniósł sensację. Dnia tego spędzono do szkoły kilkadziesiąt osób z wiossek od strony Królikowa; między innymi „oczyszczono” z Polaków w stu procentach wieś Jeziorowo. Rano przybyły do wsi wozy z Niemcami bałtyckimi. Rozpoczęło się wysiedlanie. Jako pierwszy padł ofiarą sołtys Konopa, któremu nie pozwolono nawet wejść do mieszkania. Wzięto go od pracy w podwórzu, w drewniakach. Przeszło osiemdziesięcioletniemu starcowi Bujewskiemu, rąbaczemu drzewo, nie pozwolono też wejść do domu, by pożegnać się z chorą żoną. Zmarł on na wysiedleniu. Spędziwszy wszystkich mieszkańców Jeziorowa (piętnaście rodzin), załadowano ich na wozy i przewieziono do Kcygni. W Szubinie koło cementarza żydowskiego przeładowano wysiedlonych na autobusy, które się pod Kcygnią popsuły, tak że trzeba było iść dalej piechotą.

Razem z mieszkańcami Jeziorowa przybyło pięć rodzin z Makoszy-  
na. W szkole nie brakowało im niczego, gdyż polscy mieszkańcy Kcygni  
pamiętali o nich. Dwie Niemki przyłączyły się do noszących pomoc.  
W szkole obozowali do 6 grudnia. W dniu tym już od wczesnego rana  
ka kilka komisji — w każdej jeden żandarm, jeden cywilny i pięciu

członków *Hilfspolizei* — odwiedzało domy, dając pół godziny czasu na przygotowanie się do drogi i polecając zabrać ciepłą odzież, jeden koc na osobę i żywność na przeciąg trzech dni. Posicieli nie pozwolono zabierać. Po wyznaczonym czasie odprowadzano wysiedlonych pod karabinami do szkoły. W ten sposób „oczyszczono” Rynek, ulicę Dworcową i ulicę Poznańską, jako ulice główne. Każdego nowo przybywającego witano z humorem. Jedna z niewiast, Firtasowa wydosiała się niepostrzeżenie i przyniosła kilka blach ciasta, dzieląc je między współtowarzyszy. Wieczorem 6 grudnia miał nastąpić odjazd z dworca. Podczas przygotowań do wymarszu na dworzec dokonano rewizji w poszukiwaniu pieniędzy. Wolno było zatrzymać dwadzieścia marek niemieckich. Wygnańców uszeregowano czwórkami i pod karabinami prowadzono na miejsce odjazdu, popychając i przynagelając do pospiechu. Każdy dźwigał swój bagaż. Pozostający Polacy żegnali odchodzących rodaków wymownym spojrzaniem i smutkiem na twarzy. Na dworcu załadowano wysiedleńców częściowo do wagonów osobowych, częściowo do bydłowych, nie bacząc na przepelnienie i ścisk. Wagony te docepiono do transportu przybyłego z Szubina, po czym ruszono w drogę.

Wróćmy jeszcze do Szubina, by przeżyć dzień 6 grudnia. Krótko po południu, podobnie jak w Kcygni, ustawiono zwiezionych wysiedleńców czwórkami, opasując ich kordonem uzbrojonych żołnierzy, i popędzono na dworzec. Bolesny był to obraz, gdy staruszkowie, słaniając się na nogach, resztek sił dobywali, by dobrać do stacji wraz z uczątliwym bagażem. Wozów żadnych oczywiście nie było. Z dworca cofnięto trzy rodziny, m. in. Szulkę z Glinicy, któremu przy wysiedlaniu odebrano przeszło dwa tysiące złotych. Przed załadowaniem sporządzono ewidencje wszystkich osób mających odjechać pierwszym transportem.

Z obozu internowanych nie zabrano na razie nikogo. Od samego rana spakowaliśmy swój obozowy ekwipunek i wylegliśmy przed budynek mieszkalny, oczekując niecierpliwie końca naszej izolacji od świata. Wszyscy byli gotowi do drogi, nie wiadano bowiem do kładnie, kogo obejmie pierwszy transport. Niektórzy Niemcy z warty obozowej wyjaśniali, że pojedziemy na nowe gospodarstwa i mieszkania pożydowskie. Takie to wtedy krążyły plotki!

Około godziny 3 po południu, kiedy zakończono ładowanie na

stacji, zjawiły się po nas dwa samochody osobowe. Z każdego wysiadł żandarm, wywołując na podstawie listy trzech współtowarzyszy i polecając następnej trójce przygotować się do odjazdu. Najgorsza była w tej chwili niecierpliwość w oczekiwaniu na dźwięk swego nazwiska. Człowiek wiedział, że paść ono musi, jednak trapiła go niepewność, że może w ogólnym chaosie nastąpiło przeoczenie. Wówczas groziła rozłaka z rodziną — może na długo, może na zawsze. I mnie paliła niecierpliwość. Ostatnia trójka szykowała się już do drogi, mego nazwiska zaś dotąd nie wymieniono. Wiem przecież, że rodzina czeka na mnie — zapewne niemieckiej niecierpliwie. Sam więc pytam żandarmana o siebie. Przegląda listę i odnajduje mnie w spisie przeznaczonych na odjazd. Wymienia jeszcze nazwisko Sliwińskiego z Turu. Wiadamy prędko do samochodu, dla Sliwińskiego zabrakło miejsca. Przybывamy w zawrotnym tempie na dworzec, podczas gdy Sliwiński musiał nas gonić pieszo. Długi, zapelniony pociąg stoi pod parą. Mundurów partyjnych na peronie pełno, słychać ostro podawane rozkazy. Najbardziej rzuca się w oczy barczysta postać sturmführera i jego buraczany kolor twarzy. W ręce tkwi nahałka. Kolejno przechodzimy do listy ewidencyjnej i podajemy personalia. Formalności skończone. Jeden z żandarmów skierowuje mnie ku parowozowi, gdzie w którymś z wagonów czeka rodzina. Zapamiętał moje nazwisko, ponieważ żona moja głośno i natargczywie dopominała się o mnie. Wreszcie jestem w wagonie!

Biorę dzieci w objęcia i całuję, lecz one nie poznają mnie i z płaczem odsuwają się. Na szczęście dnia poprzedniego zaopatrzyłem się w cukierki i te ostatecznie — po wielu staraniach z mojej strony — rozbroiły nieufność i obawę dzieci. Poczudem się szczęśliwy, że jestem znów z rodziną na złą i dobrą drogę, że mogę otoczyć opieką najbliższych w niepewnej przyszłości.

## IX. WYSIEDLENIE

KRÓTKO trwało moje powitanie z rodziną; zamacił je zgrzyt w drzwiach wagonu. Podchodzę do okna. To młodzi Niemcy, mający nas konwojować, zamykają wszystkie drzwi pociągu. Moment jeszcze i już lokomotywa, sapiąc i buchając kłębamii dymu, jakby niezadowolona, że obarczono ją takim ciężarem, toczyć poczęła cały swój ładunek.

Rzucam ostatecznie spojrzenie na Szubin. Nie przypuszczałem wówczas, że Szubin ujrzymy dopiero po przeszło pięciu latach twardej okupacji.

W ciasnym przedziale naszym jedzie liczna rodzina J. Majchrzyka z Szubina i kilka osób z Łabiszyna. Brak miejsc siedzących dla wszystkich, część musi odbywać podróż na stojąco. W sąsiednich przedziałach jada z rodzinami nauczyciele — Willich z Wolwarku i Jakubowski z Szubina oraz aptekarzowa Anasiewiczowa, której humor i cięty język nieraz nas rozśmieszał. Dojeżdżamy do Keyni. Tu podczas krótkiego postoju doczepiono wagony z wysiedleńcami z Keyni i okolicy. W miarę oddalania się od stron rodzinnych wzrasta ogólne przygnębienie.

Podróż nasza trwała dwa dni i dwie noce, w niesłychanie ciężkich warunkach, gdyż dzieci spały nam na kolanach i nekato nas pragnienie. Z prawdziwą ulgą powitaliśmy Konin, Kutno, Łowicz. Wjeżdżamy w okolice kraju, mocno zniszczonego pożogą wojenną. Tymczasem jeszcze jedna zmora zaczyna nas trapić — głód. Racje żywnościowe są znikome, mleko dla niemowląt okazuje się skwarniałe, pija więc zimną wodę. Blagamy eskortujących o wodę: „Wody! Dajcie więcej wody!” — wolamy rozpaczliwie. Wszystko „na nic. Wprawdzie tu i ówdzie podczas postoju litościwa ręka poda łyżbanek wody, lecz cóż to jest na tak wielu ludzi! Dorośli zwrzają, tylko usta, by choć na chwilę ugasić pragnienie. W wagonach przynętym wzrasta zaduch z wydzielin dziecięcych. Pieluszek nie ma gdzie wyprać.



Dojeżdżamy do Skierniewic. Wtem z ust do ust leci wieść o mającej nastąpić rewizji w poszukiwaniu pieniędzy — głównie marek niemieckich. Mam przy sobie dwadzieścia pięć marek i czternaście złotych. Chowam je — z wyjątkiem pięciu marek — za pasek u spodni, pozostawiając tamte ewentualnie do oddania. Jeden z prowadzących rewizję zagląda kolejno do wagonów, żądając oddania pieniędzy powyżej dwudziestu złotych oraz wszystkich marek, i grożąc surową karą w razie nieposłuszeństwa. Oddaję, choć niechętnie, pięć marek. Rewizja w naszym wagonie jest dosyć znośna, jak zresztą w całym naszym transporcie. W następnych transportach przebiegała znacznie ostrzej.

Zbliżamy się do Warszawy. Im bliżej stolicy, tym gęstsze ślady walki. Gdzieniegdzie świeże mogiły z krzyżami z brzozy, z zawieszonymi na nich hełmami, ówdzie rozbity samochód, rozwalony dom, tory zaś zawałone szkieleciami zbombardowanych wagonów. Wjeżdżamy w pierwsze zabudowania Warszawy, ogarnia nas wzruszenie na wspomnienie jej bohaterkiej obrony. To, cośmy ze zniszczenia wojennego dotychczas oglądali, było niczym w porównaniu ze zniszczeniem Warszawy. Wielopiętrowe kamienice po obu stronach toru leżą w gruzach. Leje bomb gęsto rozsiane utrudniają komunikację w mieście. W powietrzu czuć swąd spalenizny. Omiamy śródmieście, dojeżdżamy przez Wisłę na Dworzec Wschodni. Jest popołudnie. Licznie zgromadzona ludność przygląda się nam z litością. Nie rozumie ona jeszcze dokładnie, co to znaczy, jesteśmy przecież jednym z pierwszych transportów wysiedlonych. Nasz umysł zaprzęta jedno pragnienie — wody! Naprzeciw naszego wagonu stoi chłopiec w harcerskiej czapce. Budzi to we mnie zaufanie, podaję więc mu dzbaneczek z prośbą o napełnienie naczynia wodą. Nie zobaczyłem chłopca więcej, ponieważ gdy pobiegł po wodę, przetocono nas na inny tor. Był to tor boczny, przylegał do ślepo kończącej się uliczki. Jacyś uczynni ludzie, orientując się szybko w naszej tragicznej sytuacji, zorganizowali natychmiastową pomoc. Donosono wodę bankami i wiadrami. Mysłmy zaś napełniali wszystkie posiadane naczynia. Postój trwał jednak bardzo niedługo — pociąg ruszył w stronę Mińska Mazowieckiego. W Miłosinie zatrzymaliśmy się miastety na całą noc. Koszmar minionej nocy stanął mi żywo przed oczyma. Nie mogę już przesiedzieć z dzieckiem na kolanach, wolę stojąc czekać świtu. Nogi uginają się same, nie ma miejsca by położyć się na po-

łogę. Tak zastał mnie świt dnia 8 grudnia. Pociąg nasz rusza dopiero około południa. Dojeżdżamy wreszcie do Mińska Mazowieckiego, którego jest miejscem naszego przelnaczenia. Mija godzina, dwie, a wydładowanie naszego transportu nie następuje. Okazuje się, że Mińsk był już przepelniony wysiedleńcami z powiatu żnińskiego, przybyłymi dnia poprzedniego i przyjąć nas nie chce. Przychodzi w końcu rozkaz powrotu do stacji Dębe Wielkie. Otwierają się wreszcie drzwi pociągu, a my, nieprzytomni z wyczerpania, wysuwamy się na peron, wczęśliwi, że wreszcie ta koszmarna jazda się skończyła. Nie wiemy jeszcze, dokąd się udać, los tułacza nie jest łatwy, z tego zdajemy sobie sprawę. Pociąg zaraz po naszym wyładowaniu rusza z konwojentami w powrotną drogę — po nowy transport takich jak my wysiedleńców!

## LISTA ZAMORDOWANYCH MIESZKAŃCÓW POWIATU SZUBIŃSKIEGO

PONIZEJ zamieszczam zebraną przeze mnie listę zamordowanych mieszkańców powiatu szubińskiego\*. Lista ta obejmuje tylko te osoby, które zginęły w pierwszych tygodniach i miesiącach okupacji oraz te osoby, które aresztowane w tym czasie, zginęły w obozach koncentracyjnych w dalszej fazie drugiej wojny światowej. Lista ta jest podwójnie niepełna. Nie obejmuje ona wszystkich nazwisk osób zamordowanych na początku okupacji, bowiem ustalenie liczby i nazwisk zwłaszcza tych, którzy zginęli w pierwszych dniach okupacji, nie jest niestety możliwe. Lista ta nie obejmuje wreszcie tych osób, które zginęły z rąk okupanta w późniejszych latach okupacji, a więc tych np., których aresztowano w roku 1943 i którzy w tym samym roku lub następnym zamordowani zostali w obozach koncentracyjnych.

### LISTA ZAMORDOWANYCH

L. p.	Nazwisko, imię	Przynalężność społeczna	Miejsce zamieszkania	Data i miejsce mordu
1.	Pietrzak Feliks		syn rolnika Sipiory	rozstrzel. 7. 9. 39 w Sipiorych
2.	Malewicz Józef		rolnik Mannicz	rozstrzel. 7. 9. 39 w Leszczu pow. Inowrocław
3.	Zieliński Ludwik		" syn rolnika	" "
4.	Zieliński Marci		" syn rolnika	" "
5.	Bratkowski Hilary		" "	" "
6.	Kalka Mateusz		zawód i miejsce zamieszkania nie ustalone	rozstrzel. 8. 9. 39 w Szubinie przed Bankiem Ludowym

\* K. M. Pospieszalski i E. Serwański ogłosili w numerze 1/2 (1955) „Przeglądu Zachodniego” wyniki ankiety przeprowadzonej jesienią 1945 roku przez Główną Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich. Ankieta ta dotyczy masowych mordów przeprowadzonych przez hitlerowców na terenie Polski w czasie okupacji w *Uarthegau*. Wyniki ankiety ogłoszone przez wymienionych autorów dotyczą eksterminacji w całym *Uarthegau* i obejmują również powiat szubiński (s. 339—342). Ankieta wymienia 201 osób, bez podania nazwisk zamordowanych w powiecie szubińskim. Moja lista — niepełna — liczy 304 nazwiska.

L. p.	Nazwisko, imię	Przynalężność społeczna	Miejsce zamieszkania	Data i miejsce mordu
7.	Dzikowski Tomasz		robotnik Kołaczkowo	rozstrzel. 8. 9. 39 przed Starostwem
8.	Adamczak Bolesław		" Rynarzewo	" zamord. 10. 9. 39
9.	Lemke Aleksander		rolnik Dębogóra	w Dębogórze
10.	Jabłoński Michał		leśniczy "	zamord. w lesie tupa- dłowskim — 10. 9. 39
11.	Jabłońska M. (żona)		" "	rozstrzel. 11. 9. 39
12.	Jabłońska R. (córka)		" "	w Mogilnic
13.	Sikorski Mieczysław		syn fryzjera Barcin	rozstrzel. 11. 9. 39
14.	Zebrowski Alojzy		rolnik Ciężkowo	" rozstrzel. 12. 9. 39
15.	Szulsinger (ojciec)		krawiec Szubin	w Szubinie
16.	Szulsinger (syn)		" Kcyńnia	rozstrzel. 15. 9. 39
17.	Kruczek Józef		rolnik "	w Kcyńni
18.	Michalski Władysław		robotnik "	"
19.	Michalska Władysława		robotnica "	rozstrzel. 16. 9. 39
20.	Palka Franciszek		robotnik Łabiszyn	w Łabiszynie
21.	Palka Kazimierz		" "	rozstrzel. 17. 9. 39
22.	Szubert Andrzej		krawiec Kcyńnia	na drodze do Żurawii
23.	Salomon Augusta		" "	"
24.	Landsberger Flora		" "	"
25.	Jacoby Róża		" "	"
26.	Koroczyńska (matka)		" "	"
27.	Koroczyńska (córka)		" "	"
28.	Loewy Berta		" "	"
29.	Cohn Berta		" "	"
30.	Wudziński Antoni		kolodziej Zalachowo	rozstrzel. 17. 9. 39 w Łabiszynie na Sta- rym Rynku
31.	Kause Ludwik		robotnik Głęboczek	rozstrzel. 18. 9. 39 w Sadzie w Szubinie
32.	Kause Feliks		" "	"
33.	Andrzejewski Maksymilian		krawiec Szubin	"
34.	Szczotka Jan		rolnik "	"
35.	Błażak Tomasz		" "	"
36.	Błażak Jan (syn)		" "	"
37.	Saskowski Henryk		" "	"

I. p.	Nazwisko, imię	Przynależność społeczna	Miejsce zamieszkania	Data i miejsce mordu
95.	Hercog Władysław	robotnik	Szubin	rozstrzel. we wrześniu 1939 r. w Szubinie
96.	Brzykcy Tadeusz	rolnik	Grzeźna Panna	"
97.	Kowalski Jan	"	"	rozstrzel. we wrześniu 1939 r. w Ojranowskich Nowinach
98.	Was (ojciec)	"	Smogorzewo	"
99.	Was (syn)	"	"	zamord. we wrześniu 1939 r. w Szpiorach
100.	Andrzejewski Feliks	leśniczy	Sipiory	"
101.	Bak Kazimierz	robotnik leśny	"	zamord. we wrześniu 1939 r. w lesie szczy-pickim
102.	Mrugowski Franciszek	"	"	"
103.	Stalowski Wacław	syn rolnika	"	zamord. we wrześniu 1939 r. w lesie szczy-pickim
104.	Bonkowski Wacław	rolnik	Kowalewko	zamord. we wrześniu 1939 r. — Kowalewko
105.	Buras Walenty	"	Gromadno	zamord. we wrześniu 1939 r. — Gromadno
106.	Bącel Antoni	kontr. mięsny	Kowalewko	zamord. we wrześniu 1939 r. pod Bydgoszczą
107.	Bącel Monika (żona)	"	"	zamord. we wrześniu 1939 r. w lesie dębo-górskim
108.	Chrośniak Zbigniew	"	"	zamord. we wrześniu 1939 r. w lesie kowa-lewskim
109.	Chrośniak Zdzisław	synowie rolnika	Józefkowo	zamord. we wrześniu 1939 r. w lesie kowa-lewskim
110.	Chrośniak Czesław	"	"	zamord. we wrześniu 1939 r. w lesie tupa-dłowskim
111.	Olaszewski Jan	syn rolnika	Dębogóra	zamord. we wrześniu 1939 r. w Weronice
112.	Kobyłski Władysław	rolnik	Weronika	zamord. we wrześniu 1939 r. w Weronice
113.	Franciszkowski M.	robotnik	"	"
114.	Góral Józef	syn rolnika	Sipiory	zamord. we wrześniu 1939 r. w lesie szczy-pickim
115.	Janezko Władysław	robotnik	Józefkowo	zamord. we wrześniu 1939 r. w lesie kowa-lewskim
116.	Janezko Fr. (żona)	"	"	"
117.	Janezko Jan	"	"	zamord. we wrześniu 1939 r. w lesie kowa-lewskim

I. p.	Nazwisko, imię	Przynależność społeczna	Miejsce zamieszkania	Data i miejsce mordu
118.	Janke Stanisław	robotnik	Sipiory	zamord. we wrześniu 1939 r. w lesie szczy-pickim
119.	Kasperek Walenty	rolnik	Kankowice	zamord. we wrześniu 1939 r. w Kankowicach
120.	Kozłowski Czesław	syn rolnika	Paulina	zamord. we wrześniu 1939 r. w lesie kowa-lewskim
121.	Knasiński Franciszek	"	Studzienki	zamord. we wrześniu 1939 r. w lesie szczy-pickim
122.	Knasiński Zygmunt	rolnik	"	zamord. we wrześniu 1939 r. — Paterek
123.	Loose Leon	"	Weronika	zamord. we wrześniu 1939 r. — Weronika
124.	Loose Bogumił	"	Józefkowo	zamord. we wrześniu 1939 r. — Józefkowo
125.	Lewandowski Nikodem	"	Kowalewko	zamord. we wrześniu 1939 r. — Kowalewko
126.	Łapaczynski Edmund	robotnik	Paulina	zamord. we wrześniu 1939 r. w lesie kowa-lewskim
127.	Meller Franciszek	robotnik leśny	Studzienki	zamord. we wrześniu 1939 r. w lesie szczy-pickim
128.	Najdul Józef	zawod. wojsk.	Iwno	zamord. we wrześniu 1939 r. w lesie dębo-górskim
129.	Precka Stanisława	żona kupca	Kowalewko	"
130.	Różewski Franciszek	rolnik	Paulina	zamord. we wrześniu 1939 r. w lesie kowa-lewskim
131.	Szule Jan	"	"	"
132.	Trojanowski Józef	śluzant	Gromadno	zamord. we wrześniu 1939 r. w lesie Gro-madno
133.	Walczak Józef	robotnik	Ludwikowo	zamord. we wrześniu 1939 r. w Kowalewku
134.	Wiącek Marcin	rolnik	Kowalewko	"
135.	Wiącek Walenty (syn)	"	"	"
136.	Wiącek Józef (syn)	"	"	zamord. we wrześniu 1939 r. w lesie kowa-lewskim
137.	Zieliński Władysław	"	Paulina	zamord. we wrześniu 1939 r. w lesie kowa-lewskim

L. p.	Nazwisko, imię	Przynależność społeczna	Miejsce zamieszkania	Data i miejsce mordu
138.	Zbierański Jan	murarz	Paulina	zamord. we wrześniu 1939 r. w lesie szcepickim
139.	Güntzel Modest	komornik sąd.	Kcywia	zamord. we wrześniu 1939 r. koło Mogilna
140.	Stachowiak Michał	rolnik	Miaskowo	zamord. we wrześniu 1939 r. — miejsce nieznanne
141.	Sas Ludwik	"	Kachowo	zamord. bez ustalenia daty i miejsca
142.	Szychowiak Jan	zawiad. stacji	Wąsosz	rozstrzel. we wrześniu 1939 r. pod Dąbrówką Słupską
143.	Wisniewski Antoni	piekarz	Barcin	areszt. 11. 10. 39 wywieziony i zaginiony bez śladu
144.	Rybarczyk Stanisław	robotnik	"	"
145.	Cyganek Kazimierz	"	"	"
146.	Ruchaj Feliks	"	"	"
147.	Drozdowski Wojciech	"	"	"
148.	Drozdowski Jan (syn)	młynarz	"	"
149.	Wierzchostawski Feliks	syn kupca	"	"
150.	Wierzchostawski Stefan (młodszy)	"	"	"
151.	Mulżyński Franciszek	robotnik	"	"
152.	Krzewiński Kazimierz	murarz	"	"
153.	Wójcinski Michał	robotnik	Wapienno	areszt. 11. 10. 39 zginął bez śladu
154.	Tielman Jan	kupiec	Jabłówko	rozstrzel. 17. 10. 39 na cmentarzu żydowskim w Szubinie
155.	Harmaciński Franciszek	leśniczy	Zielonowo	"
156.	Drzewucki Roman	rolnik	Jabłówko	"
157.	Wierzychucki Józef	robotnik	Głęboczek	zamord. 20. 10. 39 w Głęboczku
158.	Klimiewski Ignacy	"	"	"
159.	Reinkówna Apolonia	córka dentysty	Barcin	rozstrzel. 21. 10. 39 Szubin, cmentarz żydowski
160.	Napierski Józef	gazomistrz	"	"
161.	Rogowski Stanisław	pickarz	"	"
162.	Witucki Stefan	robotnik	"	"
163.	Walczak Władysław	krawiec	"	"

L. p.	Nazwisko, imię	Przynależność społeczna	Miejsce zamieszkania	Data i miejsce mordu
164.	Zarebski Józef	ogrodnik	Barcin	21. 10. 1939 — Szubin na cment. żydowskim
165.	Deja Władysław	rolnik	Wolice	"
166.	Strzyżewski Roman	robotnik	Szczepanowo	"
167.	Dokładny Kazimierz	zawód niez.	Barcin	"
168.	Błotny Sylwester	nauczyciel	Szeroki Kamień	"
169.	Alwin Wacław	stróż	Rynarzewo	30. 10. 1939
170.	Tomczak Antoni	bankowiec	Barcin	"
171.	Biażyński Kurt	mechanik	"	"
172.	Szule Idzi	rolnik	Rynarzewo	"
173.	Tacka Bolesław	zawód niezany	Czarlin	"
174.	Hübner Maksymilian	robotnik	Kabiszyn	"
175.	Strzelecki Wojciech	komornik sąd.	"	"
176.	Jabczyński Mikołaj	kupiec	"	"
177.	Kluger Karol	adwokat	"	rozstrz. w paźdz. 1939 na cment. w Szubinie
178.	Suszek Paweł	rolnik	Manlicz	"
179.	Katuski Grzegorz	"	"	"
180.	Paliwoda Andrzej	"	"	"
181.	Rosół Józef	"	Julianowo	"
182.	Olszewski (ojciec)	"	Iwno	"
183.	Kamzelewski Sylwester	robotnik leśny	Podlaski	rozstrz. 2. 11. 1939 w Białybłotach pod Bydgoszczą
184.	Ziabeł Sylwester	robotnik rolny	Kowalewko	stracony w Kowalewku 4. 11. 1939
185.	Hinc Franciszek	fotograf	Piotrowo	zamordow. 5. 11. 1939 w Kowalewku
186.	Kieruj Alojzy	rolnik	Krolikowo	rozstrz. 6. 11. 1939 koło wioski Ameryka
187.	Dudziak Roman	gorzelany	Zalesie	rozstrz. 9. 1. 1939 Dąbrowka Słupska
188.	Pytel Bronisław	robotnik	Gięzkowo	"
189.	Wendtlandt Albert	rolnik	Smolniki	"
190.	Wendtlandt K. (syn)	robotnik	"	rozstrz. 9. 11. 39 prawdopodobnie pod Zninen
191.	Kozłowski Jan	"	Złotowo	"
192.	Polern Michał	"	"	"
193.	Kowalski Wacław	rolnik	"	"
194.	Kijewski Franciszek	"	Krolikowo	"
195.	Rumiński Józef	nauczyciel	Tur	"
196.	Stachowiak Stanisław	"	Stonawy	"
197.	Knach Józef	"	Dobieszewo	"

L. p.	Nazwisko, imię	Przynalężność społeczna	Miejsce zamieszkania	Data i miejsce mordu
198.	Skrzyżczak Feliks	rolnik	Podlaski	rozstrz. 14. 11. 1939 r. w Podlaskach
199.	Erdmann Rudolf	blacharz	Szubin	rozstrz. 24. 11. 1939 w Żninie
200.	Szulezewski Michał	obszarznik	Chwaliszewo	" "
201.	Cerkaski Walerian	kupiec	Szubin	" "
202.	Kalka Wacław	rzeźnik	"	" "
203.	Szramkowski Michał	budowniczy	"	" "
204.	Zakurzewski Władysław	"	"	" "
205.	Dypczyński Walenty	kowal	"	" "
206.	Szule Władysław	rzeźnik	Rynarzewo	" "
207.	Sempełowicz Józef	rolnik	Kowalewo	" "
208.	Rychter Kazimierz	blacharz	Barcin	" "
209.	Jankowski Franciszek	robotnik	Kowalewo	rozstrz. w koncu listopada 1939 r. w Żninie
210.	Wóźniak Daniel	rolnik	Weronka	zamord. w listopadzie 1939 r. w Weronice
211.	Mazur Adam	rzeźnik	Ciechkowo	zamord. w listopadzie 1939 w Dziewierzewie
212.	Loewe Leon	robotnik	Nowa Wieś	rozstrz. w 1939 r. w Szubinie
213.	Grzelak Jan	zawód niezany	Czechów	" "
214.	Wilk Franciszek	rolnik	Białobłota	rozstrz. w 1939 r.
215.	Musiiałowski Tadeusz	robotnik	"	" "
216.	Krajewska Walentyna	żona robotn.	Ojznanowskie	zamord. w 1939 r. Nowiny
217.	Szynakiewicz Władysław	rolnik	Sipiory	"
218.	Szynakiewicz K. (syn)	"	"	"
219.	Obrenski Franciszek	robotnik	Studzienki	zamordowani w r. 1939 w lesie karmalińskim
220.	Kujat Władysław	"	"	"
221.	Bak Jan	rolnik	Sipiory	"
222.	Piórkowski Aleksander	"	"	rozstrz. w 1939 r. w lesie szcepickim
223.	Kapczyński Wawrzyniec	"	"	"
224.	Matuszewski Marcin	"	Weronika	zamord. w 1939 r. w lesie kowalewskim
225.	Tomaszewski Stefan	uczeń szk. śred.	Rynarzewo	zamord. w 1939 r.
226.	Kuliński Jan	nauczyciel	Grocholín	rozstrz. w 1939 r. w Paterku
227.	Kazmierczak Wincenty	leśniczy	Ludwikowo	"
228.	Kazmierczak Kazimierz	rolnik	"	"

L. p.	Nazwisko, imię	Przynalężność społeczna	Miejsce zamieszkania	Data i miejsce mordu
229.	Walczak Józef	rolnik	Ludwikowo	rozstrz. w 1939 r. w Paterku
230.	Kwiatkowski Piotr	"	"	"
231.	Kucharczyk Jan	robotnik	Kowalewo	rozstrz. w 1939 r. w Kcyńi
232.	Szyperski Józef	rolnik	"	"
233.	Cwikliński	robotnik	"	"
234.	Bujna Władysław	restaurator	Kabiszyn	rozstrz. w 1939 r. w Kabiszynie
235.	Maludziński Franciszek	nauczyciel	Kowalewo	rozstrz. w 1939 r. pod Bydgoszczą
236.	Garska Kazimierz	murarz	Wolwark	areszt. 1939 r. i wywieziony bez śladu
237.	Krzyszewski Antoni	robotnik	Sadłogoszcz	rozstrz. przypuszczalnie 1939 r.
238.	Mikolajczyk Jan	nadzorca łak Pszczółczyn	Annowo	"
239.	Studa Kazimierz	rolnik	Dębogórski Młyn	zamord. we wrześniu 1939 r.
240.	Rakowski Franciszek	rolnik-wójt	Sipiory	wywieziony i rozstrz. pod Bydgoszczą
241.	Oliszewski Józef	rolnik	Dębogóra	zamord. w lesie tupadłowskim
242.	Kobyłska Anna	żona rolnika	Weronika	zamord. na szosie w Weronice
243.	Antkowiak Józef	kowal	Rozstrzębowo	wywieziony i zamord. zamęczony w Wasoszu
244.	Smarrul Wincenty	szewc	Wasosz	znana 1. 2. 1940 r. w obozie w Mogilnie
245.	Strzyżewska Józefa	szprzątacza	Rynarzewo	w obozie w Mogilnie zamęczony w Stuthofie 29. 3. 1940 r.
246.	Sroka Leon	ksiądz	Rynarzewo	"
247.	Falender Stanisław	rolnik	Szeroki Kamień	zamęczony w Dachau w kwietniu 1940 r.
248.	Graczyk Michał	"	"	"
249.	Nowicki Aleksander	ksiądz	Barcin	rozstrz. w Oranienburgu 24. 4. 1940 r.
250.	Smierzchański Franciszek	rolnik	Władysławowo	rozstrz. 30. 10. 1940 — w Poznaniu
251.	Smierzchańska Klara	żona rolnika	"	"
252.	Redelbach Feliks	nauczyciel	Szubin	utopiony w Gusen 18. 2. 1940 r.
253.	Filariski Marcin	robotnik	Kcyńia	zamord. 11. 9. 1940 r.
254.	Filariski Władysław	"	"	"

L. p.	Nazwisko, imię	Przynależność społeczna	Miejsce zamieszkania	Data i miejsce mordu
255.	Staszulek Franciszek	rolnik	Cieżkowo	zamord. w Dachau
256.	Bednarek Jakub	"	Koraczewko	"
257.	Biskupski Feliks	"	Sipiory	"
258.	Kemnitz Franciszek	"	"	"
259.	Szreder Józef	ślusarz	Gronadno	"
260.	Olszak Marcin	stolarz	Kcynia	utopiony podczas ewakuacji obozu w Neugamme k. Hamburga zamord. w Mauthausen zamęcz. w Dachau 27. 12. 1940 r.
261.	Kozłowski Szczepan	kolęjarz	"	zamęcz. w Dachau 1940 r.
262.	Ratajczak Józef	zawiad. stacji	Rynarzewo	zamęcz. w Dachau 1940 r.
263.	Gapiński Aleksy	rolnik	Mamlicz	zamęcz. w Dachau 1940 r.
264.	Skocezek Franciszek	"	"	"
265.	Bokwa Piotr	"	"	"
266.	Kumant Jan	"	"	"
267.	Czeszewski Stanisław	obszarznik	Złotowo	zamęcz. w Mauthausen w 1940 r.
268.	Kujawa Marian	rolnik	"	"
269.	Bukiewicz Maksymilian	kupiec	Kcynia	zamęcz. 28. 1. 1941 r.
270.	Pawliczak Aleksander	robotnik	Szubin	rozstrz. 17. 4. 1941 r. we Wronkach
271.	Domzalska Florent.	bez zawodu	"	rozstrz. 13. 5. 1941 r. w Inowrocławiu
272.	Maciejewski Michał	urzędnik	"	zamęcz. 14. 9. 1941 r. w Gusen
273.	Maciejewski Wiktor	rzeźnik	"	zamęcz. 31. 10. 1941 r. w Gusen
274.	Kędzicja Czesław	urzędnik	"	zamęcz. 19. 12. 1941 r. w Gusen
275.	Szulka Walery	robotnik	"	zamart 24. 12. 1941 r. w Oranienburgu
276.	Smierchalaki Zygmunt	rolnik	Władysławowo	zamęcz. 1941 r. w Inowrocławiu
277.	Stachowiak Marian	leśniczy	Annowo	zamęcz. 1941 r. w Poznaniu
278.	Piasecki Mieczysław	księgowy	Szubin	zamord. 8. 8. 1941 r. w Zamościu
279.	Domżałski Marian	robotnik	"	zmarł na skutek cierpienia 25. 1. 42 w Rawiczu
280.	Polasik Wojciech	gajowy	"	zamęcz. w obozie w Inowrocławiu

L. p.	Nazwisko, imię	Przynależność społeczna	Miejsce zamieszkania	Data i miejsce mordu
281.	Sobociński Stanisław	ksiądz	Samokłęski	zamęcz. w Dachau 31. 7. 1942 r.
282.	Rosiński Aleksander	robotnik	Szubin	zmarł 25. 5. 1942 r. w Dachau
283.	Dominiński Konrad	rybak	Wolwark	zamęcz. w Dachau w 1942 r.
284.	Draheim Wiktor	rolnik	Sadłogoszcz	"
285.	Draheim Fr. (żona)	"	Dębogóra	rozstrz. w 1942 w Inowrocławiu
286.	Sobucka Kazimiera	córka rolnika	"	zamord. w 1942 r. w Oświęcimiu
287.	Dykier Henryk	student	Kcynia	rozstrz. 4. 6. 1943 r. w Rawiczu
288.	Intrys Władysław	robotnik	Szubin	zamęcz. 17. 7. 1943 r. w Gusen
289.	Batog Wojciech	piekarz	Kcynia	rozstrz. 30. 11. 1943 r. w Warszawie
290.	Willich Edmund	nauczyciel	Wolwark	zginął w 1943 roku
291.	Zieliński Wacław	zawód niez.	Kania	rozstrz. w Wągrowcu w 1943 r.
292.	Siwkowski Franciszek	robotnik	"	rozstrz. 31. 12. 1943 r. w Inowrocławiu
293.	Mieczkowski Antoni	szewc	Szubin	rozstrz. 4. 8. 1944 r. na Pawlaku
294.	Majorzczak Jan	robotnik	"	zamęcz. w Dachau
295.	Wawrzyński Witalis	nauczyciel	Pszczółczyn	zamęcz. w Dachau
296.	Pawłowski Henryk	rolnik	Kania	zamord. pod Głańskiem
297.	Poczekaj Czesław	rzeźnik	Kcynia	zamęcz. w Dachau
298.	Nowacki Władysław	"	"	zamęcz. w Gusen
299.	Błażejowski Ludwik	kupiec	"	zamęcz. w więzieniu
300.	Sikorski Stanisław	"	"	zamęcz. w Oranienburgu
301.	Kłapa Franciszek	doradca prawny	"	"
302.	Klein Jan	ksiądz	Chomętowo	"
303.	Kowalski Witold	listonosz	Godzimirz	zamęcz. w Szumnie w czerwcu 1944 r.
304.	Sikorski Bronisław	rolnik	Samokłęski	zamęcz. w Dachau

Skład społeczny pomordowanych, jak to wykazuje lista, był bardzo różnorodny. Pierwsze miejsce zajmują rolnicy w liczbie 124 ofiar (40,7%), na drugim miejscu znajdują się robotnicy (66 ofiar — 21,6%). Straty rzemiosła wyniosły 46 osób (15%).

Szczęśliwicy obszedł się los z grupą inteligencji pracującej, która wpisała się

na listę ofiar liczbą 40 osób (13<sup>0/0</sup>). W tej liczbie było 9 nauczycieli, 4 księży i 7 osób ze służby leśnej (leśniczy i gajowci). Jeśli się zważy, że w powiatach wrocławskim i rypińskim wymordowano prawie wszystkich nauczycieli, że w Inowrocławiu i Bydgoszczy liczba ofiar spośród nauczycielstwa wynosiła po kilkadziesiąt osób, to nauczycielstwo i cała inteligencja powiatu szubińskiego może mówić istotnie o pewnym szczęściu.

Z pomniejszych grup wymienić należy 13 ofiar spośród kupiectwa (4,3<sup>0/0</sup>) oraz 1 ucznia szkoły średniej. U 13 pomordowanych (4,6<sup>0/0</sup>) nie stwierdzono ani przynależności społecznej, ani zawodowej.



SPIS TREŚCI

Wstęp . . . . .	5
Przedmowa . . . . .	7
I. 1 września 1939 roku w Rynarzewie i Szubinie . . . . .	9
II. Wojna idzie . . . . .	12
III. Ucieczka . . . . .	16
IV. Powrót na niepewne . . . . .	19
V. Pierwsze dni okupacji niemieckiej . . . . .	24
<i>U Rynarzewie</i> . . . . .	24
<i>U Koyu</i> . . . . .	27
<i>U Łabiszynie</i> . . . . .	30
<i>U Barcinie</i> . . . . .	34
<i>U Szubinie</i> . . . . .	37
VI. W obozie internowanych . . . . .	43
VII. Gestapo szaleje! . . . . .	50
VIII. Wywłaszczenie z ojcowizny . . . . .	59
IX. Wysiedlenie . . . . .	67
Lista zamordowanych mieszkańców powiatu szubińskiego . . . . .	70
Spis ilustracji . . . . .	83